WTOREK
Nr 19 13.II.1979 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

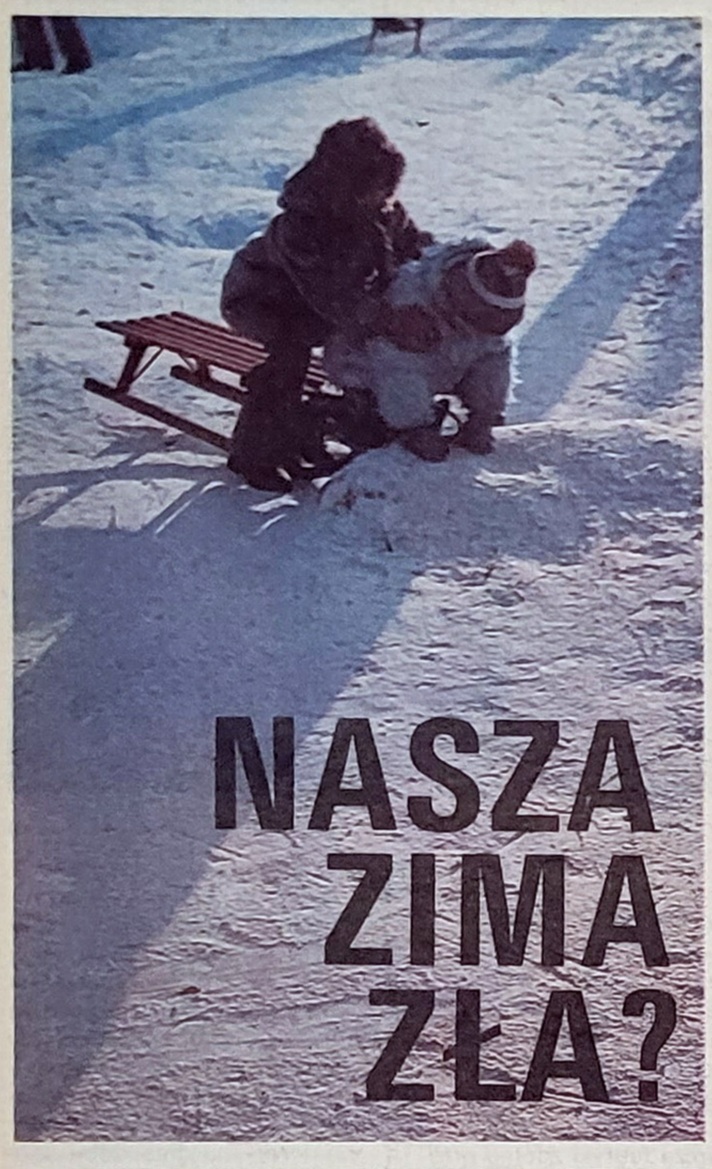

NASZA ZIMA ZŁA?

To zależy dla kogo. Dla drogowców i transportowców, dla energetyków i kolejarzy – zapewne tak. Ale dla uczniów, dla tych wszystkich, którzy lubią zimowe sporty – nie! Nawet nie trzeba w tym roku wyjeżdżać w góry, aby skorzystać z nart i sanek, wystarczy udać się do najbliższego parku, na najbliższą górkę.

Śniegu nie brakuje tej zimy dla nikogo i to przez dłuższy czas. Ciche z reguły o tej porze roku i smutne parkowe alejki wypełniały się ludźmi jak w lecie. Każda dróżka zamieniona została w trasę biegową, każde wzniesienie na stok narciarski lub saneczkowy. Duża frajda dla dzieci, ale nie tylko. Dorośli również skorzystali z tej szansy, co widać na naszych zdjęciach wykonanych w Parku Kościuszki w Katowicach.

Pięknie jest zimą w lesie. Pięknie jest też w parku. No więc jak – zła ta nasza zima?

(mt)

Fot. Z. Bisanz

BURSA DLA 300 UCZNIÓW, IMPREZY KULTURALNE, USPRAWNIENIE DOJAZDÓW DO SZKÓŁ WIEJSKICH BUDOWA „PARKU WIELKIEJ PRZYGODY" TO WSZYSTKO DLA DZIECI Z WOJEWÓDZTWA SIEDLECKIEGO

W dniach 20 i 21 stycznia tego roku odbyła się w Siedlcach Wojewódzka Inauguracja Międzynarodowego Roku Dziecka. Była to uroczystość wesoła, choć oficjalna. Zorganizowana została przez liczne instytucje i organizacje społeczne, które czynnie włączyły się do obchodów MRD. Zaczęła się o godzinie 11 spotkaniem uczestników z dwoma zespołami harcerskimi „Szafiry" i „Małe Indianki".

CIĄG DALSZY NA STR.3

Fot. Janusz Mazurek

Podmorski „RUROCIĄG MLECZNY" łączy wyspę Ameland z Holandią

HOLANDIA (PAP). Dla 70 producentów mleka z holenderskiej wyspy Ameland kończy się okres kłopotów z dostarczaniem go do kraju. Uruchomiono bowiem rurociąg, którym mleko płynie z wyspy na ląd. Jego konstruktorzy musieli pokonać szereg trudności, np. zbyt wolny przepływ w rurach spowodowałby, że do celu docierałoby... zsiadłe mleko. Znaleziono rozwiązanie: mleko wysyłane jest w postaci „bomby pneumatycznej" zamkniętej między gumowymi piłkami. Wysyłka pierwszych 30 tys. litrów mleka była wydarzeniem na skalę światową – dotąd przesyła się mleko rurami tylko w Austrii, gdzie rolnicy, mający bydło mleczne w górach, dostarczają je do blisko położonej zlewni, a ta właśnie rurociągiem przekazuje je mleczarni, położonej w dolinie. **(tok)**

NAJWIĘKSZĄ ATRAKCJĄ BYŁA WIZYTA W PLANETARIUM ZBUDOWANYM PRZEZ PIONIERÓW Z FRANKFURTU NAD ODRĄ

GORZÓW WLKP. (HSI). Niedawno 25-osobowa grupa harcerzy ze Szkoły Podstawowej nr. 2 w Gorzowie Wlkp., spędziła dwa dni na wycieczce we Frankfurcie nad Odrą. W ramach przyjacielskiej współpracy z tamtejszą Szkołą Ogólnokształcącą nr 11 młodzież została zaproszona na święto frankfurckich pionierów, którzy uroczyście obchodzili trzydziestą rocznicę powstania swojej organizacji. Najwięcej wrażeń dostarczyły harcerzom wizyty w domach niemieckich kolegów. Zwiedzano także zabytki Frankfurtu. Nie lada atrakcją były odwiedziny w nowo otwartym planetarium, wybudowanym w czynie społecznym przez tamtejszych pionierów. Już niedługo Szkoła w Gorzowie gościć będzie młodzież z NRD, która przyjedzie do Polski z rewizytą. **(kż)**

Biały czarodziej z Lambaréné (1)

PÓŁ WIEKU W AFRYKAŃSKIM BUSZU

Z przodków Szwajcar, z urodzenia Niemiec, z paszportu Francuz, z wyboru lekarz Afryki. Protestancki teolog, filozof, muzyk i muzykolog, w wieku dwudziestu jeden lat postanowił, że jeszcze tylko dziewięć lat poświęci pracy naukowej, natomiast pozostałą resztę swego życia – służbie ludzkości. Gdy więc dobiegł trzydziestki, rozpoczął kolejne studia, tym razem medyczne, by w miesiąc po ich ukończeniu przyłączyć się do francuskiej misji katolickiej, wyruszającej w głąb Czarnego Lądu. W Europie pozostawił wspaniale rozpoczętą karierę naukową i artystyczną, odczyty, przyjaciół i sławę.

CIĄG DALSZY NA STR.4

PILSCY HARCERZE ZEBRALI NA „Dar Młodzieży" 101 522 zł

PIŁA (HSI). Zuchy, harcerze i instruktorzy członkowie Chorągwi ZHP im. Zdobywców Wału Pomorskiego postanowili włączyć się do ogólnokrajowej zbiórki funduszu na budowę szkolnego żaglowca „Dar Młodzieży". Łącznie pilscy harcerze przekazali już na ten cel kwotę 101 522 złotych, uzyskaną ze zbiórek surowców wtórnych i działalności społecznie-użytecznej na rzecz środowiska. Zbiórka na nowy polski żaglowiec będzie kontynuowana, zwłaszcza podczas tegorocznej akcji letniej „Wał Pomorski 79".

Anna Donder

HOBBIŚCI Z POZNANIA ZBIERAJĄ WSZYSTKO CO ZWIĄZANE JEST Z DZIECKIEM

POZNAŃ (PAP). Z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka, Wielkopolski Klub Hobbistów działający przy Pałacu Kultury w Poznaniu organizuje w miesiącu kwietniu br. wystawę kolekcjonerską pod hasłem „Dziecko w kolekcjonerstwie". Zostaną na niej zaprezentowane zbiory z różnych dziedzin, a związane tematycznie z dzieckiem np. wizerunek dziecka, zabawa, nauka szkolna, zabawki z różnych epok i inne kolekcjonerskie skarby. **(kż)**

Sprawy najważniejsze

UNIESZKODLIWIĆ BECZKĘ PROCHU

Już szósty rok trwają w Wiedniu rokowania w sprawie ograniczenia zbrojeń w Europie Środkowej. W rokowaniach tych biorą udział delegacje 19 państw, członków Układu Warszawskiego i Północno-Atlantyckiego (NATO) łącznie ze Stanami Zjednoczonymi i Kanadą. Odbyło się do tej pory 191 plenarnych posiedzeń w ramach tzw. rund. Właśnie XVI runda rokowań zakończyła się w końcu stycznia br. i po kilkudniowej przerwie, 8 lutego, rozpoczęła się kolejna, XVII runda.

Toczące się w Wiedniu rozmowy są niesłychanie ważne, stanowią klucz do odprężenia militarnego na naszym kontynencie, a zapewne i w szerszej skali. Tu bowiem, w Europie Środkowej, na niewielkim przecież obszarze (RFN, Kraje Beneluksu, NRD, CSRS i Polska) skoncentrowane są ogromne środki militarne. Jest to jedna gigantyczna beczka prochu. Trudno sobie nawet wyobrazić skutki wybuchu tej beczki, nie tylko dla Europy ale i całego świata. Właśnie żeby nie dopuścić do takiego kataklizmu, trwają w Wiedniu rokowania. Ich celem jest, jak już powiedzieliśmy, ograniczenie zbrojeń, a także stopniowe rozbrajanie się, zachowując stale równe siły po obu stronach – Wschodu i Zachodu. Zasada logiczna, prosta, sprawiedliwa. Pozostaje tylko wcielić ją w życie. No i tu się zaczyna cała długoletnia już historia tych rokowań. Otóż państwa NATO wyliczyły sobie, że ilość wojsk po stronie Układu Warszawskiego jest liczniejsza o 150 tys. żołnierzy. Zatem, o redukcji z ich strony może być mowa dopiero wówczas kiedy Wschód zredukuje tę różnicę, kiedy doprowadzi do równego stanu po obydwu stronach. Na pozór argument wydaje się logiczny, gdyby tylko był prawdziwy. Zachód nie potrafi bowiem udowodnić swojej tezy o dysproporcji między liczebnością wojsk NATO i UW i co gorsze, nie chce się przyznać do ewidentnych błędów w ocenach.

Państwa socjalistyczne (PRL, NRD, CSRS i ZSRR) chcąc ułatwić Zachodowi honorowe wybrnięcie z tej sytuacji, zgłosiły w czerwcu ub. roku kompromisową propozycję, iż w pierwszej fazie ZSRR zredukuje dwukrotnie większą liczbę wojsk niż USA. Mało tego, państwa socjalistyczne zaproponowały również, aby na czas trwania rokowań zamrozić w Europie Środkowej wszelkie dalsze zbrojenia. Niestety, jak do tej pory delegacje krajów NATO nie podjęły wyciągniętej ręki. Może więc XVII runda rokowań przełamie impas rozmów wiedeńskich? Miejmy nadzieję, że tak będzie. Europejską beczkę prochu trzeba unieszkodliwić za wszelką cenę. (bor).

NIEKORONOWANY KRÓL PRZEMYSŁU

Trudno bez jego udziału nawet wyobrazić sobie jakikolwiek proces technologiczny lub nowoczesne gospodarstwo rolne. Produkcja paliw, hutnictwo metali i szkła, włókiennictwo i przemysł chemiczny – nie mogą bez niego po prostu funkcjonować. Ponad połowę jego światowej produkcji zużywają – w przetworzonej postaci, jako nawozów sztucznych – rolnicy i ogrodnicy. Gdyby go nagle zabrakło, na świecie zapanowałby prawdziwy kataklizm, a widmo głodu – zajrzałoby w oczy setkom milionów mieszkańców naszego globu.

Pisze się i mówi o nim niewiele, i właściwie tylko w kręgach specjalistów. Nigdy nie fascynował grozą i nadziejami jak uran, nie wzbudzał namiętności jak niegdyś złoto, i daleko mu do popularności benzyny. A jednak ten produkt, z którym przeciętny człowiek styka się zwykle po raz pierwszy i ostatni w szkolnej pracowni chemicznej, gdzie służy do nudnych eksperymentów – należy do najcenniejszych jakie znamy.

Chodzi tu oczywiście o kwas siarkowy – zwany często niekoronowanym królem przemysłu.

ZDARZYŁO SIĘ ĆWIERĆ WIEKU TEMU KIEDY SIARKA NIE BYŁA JESZCZE NASZYM NARODOWYM BOGACTWEM

Wtedy to właśnie odkryto na terenie Polski przebogate złoża siarkonośnych wapieni, margli i iłów. Kilka lat później, kiedy zaczęto je eksploatować, została podjęta niesłychanie ważna decyzja, która dziś wydaje się zupełnie oczywista, ale wówczas niewielu tylko rozumiało jej znaczenie. Mianowicie polscy specjaliści postanowili zakupić we Francji instalację do produkcji kwasu siarkowego z... siarki.

Znów, być może, brzmi to nieomal humorystycznie. Bo niby z czego ten kwas robić – zapyta ktoś – jak nie z siarki właśnie?

Otóż nie jest to takie oczywiste, bowiem współczesna chemia produkuje go z wielu surowców: pirytów, gipsu, gazów hutniczych, siarki, siarkowodoru, fosfogipsu, anhydrytu... Mieliśmy i my takie fabryki, przerabiały krajowy piryt i anhydryt i produkowały swoje. Zadecydowaliśmy jednak, że trzeba myśleć perspektywicznie i postanowiono, iż na skutek zmiany sytuacji surowcowej zmienimy radykalnie technologię wytwarzania kwasu siarkowego u siebie. Koniec z innymi surowcami. Wyłącznie siarka!

A dziś, po dwudziestu latach doskonalenia się w tej specjalności, znajdujemy się na 2 miejscu w świecie w produkcji siarki rodzimej i na 5 miejscu w produkcji kwasu siarkowego.

Ale to jeszcze nie wszystko. Decyzja podjęta przed laty ma bowiem drugie nie mniej ważne konsekwencje...

Pierwsze wytwórnie tego niemożliwego do zastąpienia czym innym półfabrykatu zbudowaliśmy u siebie i w Czechosłowacji. Później były Węgry, 15 fabryk dla ZSRR, Włochy, Turcja, RFN, Maroko, Tunezja, Kamerun, NRD i wiele innych krajów. Gliwicki „Biprokwas" dostarcza fabryki zdolne przetworzyć każdy z używanych w świecie surowców siarkowych. Np. Związek Radziecki posiadający duże złoża pirytów zamawia wytwórnie pracujące tylko na tej kopalinie. Jest to nasz najpoważniejszy odbiorca. Do 1982 roku zbudujemy w ZSRR 37 fabryk kwasu siarkowego. Będą one produkowały więcej niż dziś Wielka Brytania, RFN i Francja – razem wzięte!

Tego rodzaju fabryk wysłaliśmy już w świat statkami i pociągami 62 sztuki, w częściach, jak należy zapakowanych. Razem z nimi jadą nasi fachowcy. Nadzorują budowę i montaż urządzeń, szkolą przyszłą załogę i doprowadzają do rozruchu technologicznego. A potem wysłuchawszy przemówień pochwalnych wypijają tradycyjną lampkę wina i... wyruszają montować kolejny obiekt w jakimś egzotycznym kraju, albo i u siebie w domu. Na własny użytek zbudowaliśmy w ten sposób lub właśnie kończymy, 35 takich wytwórni...

Czyli razem jest ich już blisko setka. Nie brzmi to być może zbyt efektownie. Szczególnie w kraju, który postawiwszy na szybki rozwój przemysłu przyzwyczaił czytelników gazet do tego, że w każdej z nich znaleźć mogą takich informacji na kopy.

Już nas one nie elektryzują tak jak kiedyś, mimo że obiekty budowane i oddawane do użytku dziś – o całe niebo przewyższają dawne.

Podobna historia zdarzyła się kiedyś ze statkami, które są naszą drugą specjalnością światową. Prasa, telewizja i kronika filmowa pieczołowicie odnotowywały każdy kolejny chrzest i wodowanie. I w pewnym momencie wszyscy zaprotestowali: dość już tych wodowań! Nie ma dnia, żeby człowiek nie musiał oglądać tradycyjnego rozbijania butelki szampana o burtę! Tak nas to znudziło, że teraz ze świecą można szukać informacji z podobnej uroczystości, a i tak się nie znajdzie. A produkujemy dziś statki o światowym standardzie...

Tak samo jest z naszymi fabrykami kwasu siarkowego. Jedną z nich wybudowaliśmy w Duisburgu w RFN. Wszystkie urządzenia, cała aparatura i zapasy surowca zostały przygotowane przez nas, zachodnioniemiecki odbiorca tylko przeciął wstęgę i nacisnął odpowiedni guzik. I produkcja ruszyła od razu pełną parą i bez zakłóceń.

Gdyby się stało inaczej nie mielibyśmy czego szukać na zagranicznych rynkach zbytu...

JERZY DĄBROWSKI

– HALO, CZY TO „BIPROKWAS"? ZAMAWIAM 37 FABRYK! PROSZĘ ZAPAKOWAĆ I WYSŁAĆ KOLEJĄ

Takie zamówienia otrzymuje dziś ta firma uważana za jedną z najbardziej liczących się w świecie, a wyspecjalizowanych w dostarczaniu kompletnych fabryk kwasu siarkowego i pokrewnych związków.

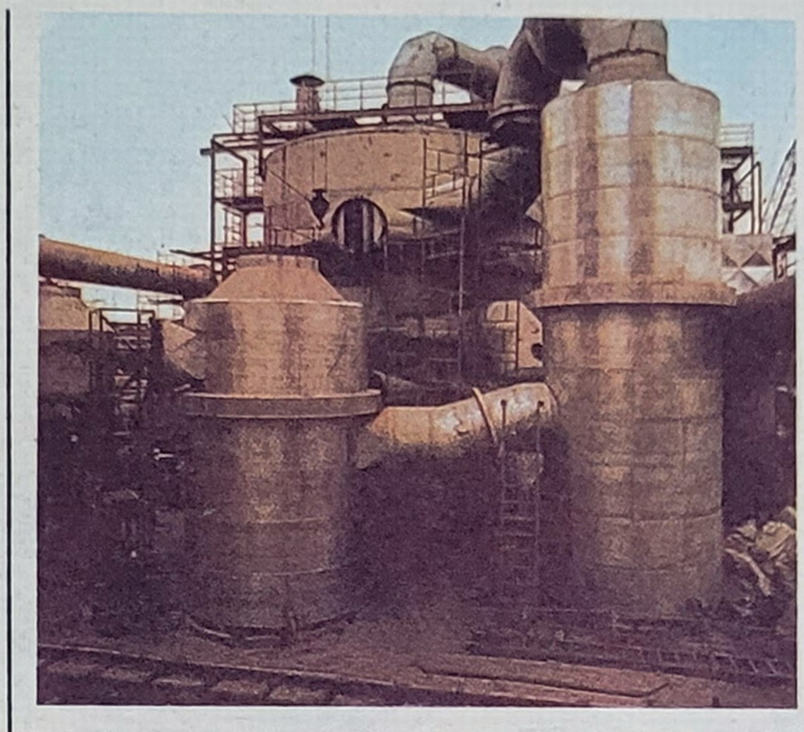

Fabryka kwasu siarkowego zbudowana przez polskich specjalistów w Duisburgu (RFN) Fot. CAF i archiwum

Tak wygląda siarka wydobyta z kopalni w Grzybowie

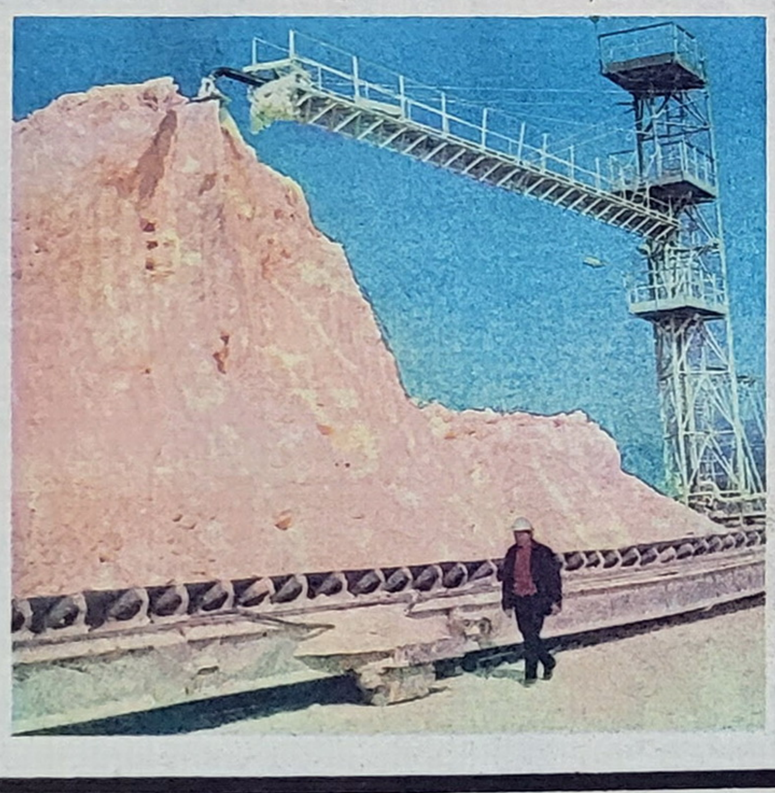

Sny

Przez wiele lat prześladował mnie, od czasu do czasu, szczególnie złośliwy sen. Otóż śniło mi się, że zdaję egzamin maturalny. Budziłem się spocony, z włosem zjeżonym, drżący z przerażenia, zawsze w tym samym momencie: leży przede mną kartka papieru a na niej czarno na białym napisany jest jakiś wzór matematyczny. I ja mam tę abrakadabrę rozwiązać! A profesor stoi za moimi plecami; czuję jego wzrok już nie tylko na plecach, na głowie, ale wprost na mózgu. W którym mam już tylko jedną myśl – koniec z maturą. I wtedy właśnie budzę się okropnie zdenerwowany, przestraszony...

Kiedy ogłoszono, że na egzaminie maturalnym można posługiwać się różnymi pomocami naukowymi, a nawet podobno i elektronicznym komputerkiem, sny o maturze ustały jak ręką odjął. Śnią mi się teraz, jak na przeciętnego człowieka przystało, różne tematycznie sprawy, czasem miłe, innym znów razem denerwujące, ale sądząc z lektury niemodnych już dziś sennników, zupełnie zwyczajne.

Aż nagle, zupełnie niedawno, przeżyłem sen – koszmar. Przyśniło mi się (w kolorze), że jestem młodzieńcem studiującym na ostatnim roku przedszkola i że zostałem uznany za „nieprzeciętnie zdolnego".

Marzenia senne mają to do siebie, że można w tym samym czasie mieć lat na przykład 6 i myśleć tak, jakby się miało ich dużo, dużo więcej. I że można jednocześnie być w kilku miejscach. I w ogóle wszystko jest możliwe.

Więc też błyskawicznie zorientowałem się, jakie nieszczęścia mnie czekają. Otóż, albo zaczną wyrywać mnie sobie różni naukowcy, mierzyć moje nieprzeciętne uzdolnienia, porównywać, obserwować, kierować mną itp. Albo też nie zauważą mych ponad miarę rozwiniętych uzdolnień i będę cierpiał męki człowieka, który wie, że jest inny ale nikt nie chce tego oficjalnie potwierdzić. A co gorsza będę w szkole przeszkadzał średniakom (i nauczycielom), niepokoił a czasem nawet przerażał. A jak będę się nudził na lekcjach! I co mi właściwie z tej genialności, jeśli i tak trzeba będzie zaliczać klasę za klasą? Bo jeśli nawet trafię do jakiejś szkoły eksperymentalnej, gdzie będą prowadzone zajęcia fakultatywne i będąc na przykład w piątej klasie opanuję matematykę na poziomie dziesiątej, nic mi to nie da poza piątką na świadectwie ukończenia piątej klasy. Będę po prostu nieszczęśliwy, wyobcowany w świecie, który jest nie na moją miarę.

I tu obudziłem się w identycznym stanie nerwów, jak po tych snach maturalnych. Dopiero po chwili stwierdziłem, że a) na szczęście jestem zwyczajny i b) na nieszczęście 6 lat owszem miałem, ale strasznie dawno temu. I zacząłem myśleć o tym, czy kiedyś będą szkoły „do wyboru", w których będzie można na przykład uczyć się polskiego z programu klasy trzeciej, a matematyki z szóstej, lub jakoś inaczej – zależnie od uzdolnień. Bo przecież tak naprawdę nie chodzi wcale o tych nieprzeciętnie zdolnych, „genialnych", tylko o to co zrobić, żeby każdy mógł ujawnić zdolności i rozwijać je według swoich możliwości. Jesteśmy bowiem wszyscy nieprzeciętnie zdolni, tylko każdy z nas pod jakimś względem. Ale jak to ujawnić? Nie ma na całej kuli ziemskiej dwóch identycznych osób, a uzdolnień nie zmierzy się żadnymi testami ani żadną inną miarką, bo to nie ma ani wagi, ani długości czy szerokości ani temperatury. I przy tej ostatniej myśli znów zasnąłem.

Tym razem przyśniło mi się, że jestem hydraulikiem, który ma przeogromne uzdolnienia muzyczne. I nic o tym nie wiem! Straszne.

JERZY ZYGFRYD

CIĄG DALSZY ZE STR.1

Spotkanie prowadzone z ogromną werwą przez druhnę Jolę Klewek rozgrzało od razu zmarzniętych i zmęczonych najmłodszych, którzy ściągali na salę gimnastyczną Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 z terenu całego województwa.

Po obiedzie – był rosół i kurczaki, bo Siedlce to miasto drobiem słynące – nastąpiła najważniejsza część programu pierwszego dnia – spotkanie z pisarzem, Kawalerem Orderu Uśmiechu, Januszem Domagalikiem (na zdjęciu). Druh Janusz od pierwszych słów zapanował nad salą i mikrofonem, który po prostu odsunął. Opowiadał o sobie, swoich książkach, wręczał nagrody za udział w konkursie literackim i odpowiadał na pytania. Spotkanie przeciągało się coraz dłużej i dłużej – każdy chciał mieć autograf pisarza i mało brakowało, a nie odbyłyby się harce na lodzie przygotowane przez Studencki Krąg Instruktorski. Wieczorem był Bal – nie zabawa, a właśnie Bal z dużej litery – dla większości pierwszy w życiu. Z wodzirejem, strojami, błyskającymi kolorowymi światłami, muzyką, przy której nogi same sunęły do tańca. Nawet zaproszeni dorośli goście ruszyli w tany, ale cóż, lata lecą – po jednym, dwóch tańcach zostały na parkiecie tylko zuchy i harcerze Chorągwi Siedleckiej. Bawiono się długo i w doskonałym nastroju.

Drugi dzień Inauguracji miał zupełnie inny charakter. Zaczął się apelem „Dzieci – bohaterom", na którym złożono hołd poległym w czasie ostatniej wojny. Później zabrał głos sekretarz Komisji d/s Współpracy z Młodzieżą ZG ZBoWiD Kazimierz Bagniuk. Opowiedział zebranym o losach pokolenia, którego dzieciństwo brutalnie zabrała wojna. Specjalną uwagę poświęcił dzieciom Zamojszczyzny, których męczeństwo jest najtragiczniejszym dowodem na bezwzględność wojny. Po apelu uczestnicy złożyli kwiaty na Grobie-Pomniku 250 Dzieci Zamojszczyzny i w Miejscach Pamięci Narodowej, znajdujących się na terenie Siedlec.

Gwoździem programu drugiego dnia było spotkanie dzieci z województwa siedleckiego z władzami regionu. Na spotkanie pod hasłem „W kręgu Przyjaciół" przybyli: sekretarz KW PZPR Stefania Marciniak i przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Obchodów Międzynarodowego Roku Dziecka Kazimierz Grybczewski. Był także „dyrektor dyrektorów" wszystkich uczestników Inauguracji, kurator, druh harcmistrz Polski Ludowej Andrzej Świątek. Harcerze z Sokołowa Podlaskiego, Życzyna i Łukowa opowiadali gościom i pozostałym uczestnikom o tym, co robią i co mają zamiar zrobić w swojej miejscowości i w swoim środowisku oraz przedstawili swoje problemy i trudności. Później zabrała głos sekretarz KW PZPR Stefania Marciniak, która w imieniu Wojewódzkiego Komitetu Obchodów Międzynarodowego Roku Dziecka przedstawiła, co z kolei dorośli mają zamiar zrobić dla dzieci i młodzieży województwa siedleckiego. Program jest bardzo bogaty: jest tu i projekt budowy bursy dla 300 uczniów w Siedlcach, i liczne imprezy kulturalne, usprawnienie dojazdów do szkół dzieci wiejskich, i budowa „Parku Wielkiej Przygody" na Osiedlu Tysiąclecia w Siedlcach, i wiele, wiele innych propozycji. Wszystko to ma służyć dalszej poprawie warunków życia i nauki dzieci i młodzieży, zapewnieniu jej możliwości wszechstronnego rozwoju. Na zakończenie uroczystości odczytano „Posłanie uczestników Wojewódzkiej Inauguracji Międzynarodowego Roku Dziecka do dzieci i młodzieży województwa siedleckiego".

A potem uczestnicy uroczystości rozjechali się do domów. Szczęśliwi, uśmiechnięci, obdarowani maskotkami przez Siedleckie Zakłady Zabawkarskie.

JANUSZ PATKOWSKI
Fot. **Janusz Mazurek**

WSZYSTKO DLA DZIECI Z WOJEWÓDZTWA SIEDLECKIEGO Z OKAZJI MIĘDZYNARODOWEGO ROKU DZIECKA

Tłumy oblegały Janusza Domagalika, każdy chciał zdobyć jego autograf

Studenci zorganizowali dla najmłodszych zimowe harce na lodzie, a na zakończenie imprezy wszyscy uczestnicy otrzymali upominki od Siedleckich Zakładów Zabawkarskich

TAK NA BOISKU BIWAK

Co to za zbiórka w klasie, gdzie nie można trzymać swoich proporczyków, totemów, kronik z obozów

Nie, tego biwaku nie było i chyba nie będzie. Bo co to za atrakcja urządzić sobie biwak tuż przy szkole, nie ruszając się ani kroku ze swojej miejscowości?! Był tylko jeden prawdziwy biwak w historii szczepu w Halinowie. W wersji dyrektora szkoły wyglądał on tak:

– To było dwa, czy trzy lata temu. Ta „osoba" wyprowadziła ich aż do Józefowa. 30 kilometrów jakoś się dopchali autostopem. Wieczorem rozpalili ognisko pod linią wysokiego napięcia. Rodzice nie wiedzieli gdzie są dzieci. Kilka osób pojechało ich szukać. Opowiadali, że „Jej" nie było, a dzieci same paliły ognisko. Co to za opieka? My musimy wiedzieć co robi z dziećmi jakaś Beata czy Jacek, bo potem matki komentują – to zrobiła szkoła! Dzieci wróciły głodne i zmarznięte.

– Ale zadowolone – wtrąca nauczycielka, pani Sawicka.

– Nikt nie jest przeciwny biwakom – mówi dyrektor Wikieł – ale rodzice muszą wyrazić zgodę, wiedzieć gdzie są dzieci. Ja bym nie puścił swoich dzieci z taką osobą, która (tu wymowny gest dłonią w okolicy ucha) ma różnie w głowie. To jest trasa E-8, dużo samochodów; trzeba wiedzieć jak iść.

– Oni nie szli tą trasą – uściśla pani Sawicka, ale dyrektor już mówi dalej. – Gdy im radziłem: zróbcie biwak na terenie szkoły, to nie chcieli!

Do szkoły chodzi 487 uczniów. Prawie połowa to zuchy i harcerze. W szczepie jest jedna drużyna sztandarowa. We wrześniu na inauguracji roku harcerskiego jej członkowie dostali dyplom i plakietki. Był uroczysty apel na boisku. Niestety, części artystycznej nie przedstawili, bo przeszkodził deszcz, a w szkole nie ma odpowiedniej na występy sali. Teraz realizują zadania kampanii „Bohater" – na ognisku poznawali życiorys K.K. Baczyńskiego, recytowali jego wiersze.

Spotykają się, a raczej chcą się spotykać, na zbiórkach co tydzień. Niestety, nie mają harcówki. Szkoła mieści się w dwóch zaadaptowanych budynkach, które ledwie mieszczą wszystkich. Nauka odbywa się, oczywiście, na dwie zmiany.

Ostatnio chłopcy odkryli w podziemiu małe pomieszczenie, wymarzone wręcz na harcówkę. Niestety, są tam zmagazynowane stare ławki i stoły do pracowni technicznej. Wprawdzie mają wyznaczoną na zbiórkę „VIIIa", ale nieraz woźna mówi, że już zamyka szkołę i zbiórki trzeba wcześniej kończyć. A zresztą, co to za zbiórka w klasie, gdzie nie mogą trzymać swoich proporczyków, totemów, kronik z obozów!

W szkole jest jeszcze świetlico-stołówka. Ale nawet nie próbowali pytać, czy w niej mogłyby się odbywać zbiórki.

– Dlaczego? – pytam. I zapada cisza. Dziwię się: przecież wiecie, że tego magazynu z podziemi nie ma gdzie przenieść. Równie dobrze możecie myśleć o wspólnym locie na Wenus. Dlaczego nie próbujecie znaleźć jakiegoś bardziej realnego rozwiązania? Na przykład swój kącik w świetlicy.

– Bo, wiadomo, pan dyrektor na pewno się nie zgodzi! Nie możemy nawet zrobić zabawy. Tylko raz nam pozwolił na Andrzejki. Było fajnie, chłopcy zmontowali kolorowe, przyćmione światełka, jak na prawdziwej dyskotece; ale pani Sawicka weszła i zapaliła górne światło. – Jak zgasicie – powiedziała – to zabawa się skończy.

Pani Sawicka twierdzi, że jak tam weszła było zupełnie ciemno i dlatego zapaliła światło. Młodzież powinna się bawić – mówi – ale tak, żeby nie budziło to zastrzeżeń. Uważa, że nie zrobiła nic złego. Dlaczego oni chcą się tak bawić? Nie rozumiem. Najpierw się ładnie ubierają, czeszą, a potem tańczą po ciemku.

Gdy próbuję tłumaczyć, że to taka moda, dyrektor Wikieł pyta: – A czy pani wie ile dziewcząt w tym wieku zachodzi w ciążę?

Dyrektor jest zdania, że takie postępowanie nauczycielki to nie brak zaufania, ale troska. Jeśli chodzi o harcówkę, to jej nie będzie, bo nie ma gdzie! Gdy harcerze chcą mieć zbiórki w klasie to musi być z nimi ktoś dorosły, inaczej ławki by przez okno powyrzucali. W świetlicy zbiórki będą mogły się odbywać, ale pod warunkiem, że będzie opiekun, który dopilnuje, żeby sprzęt nie uległ zniszczeniu.

Z dalszej rozmowy wynika jednak, że nie będzie to takie proste. Świetlica, która pełni jednocześnie rolę stołówki, musi być utrzymana w porządku, tak, by Sanepid nie wlepił kary. Dlatego zaraz po obiedzie jest dokładnie sprzątana. Gdyby harcerze chcieli z niej korzystać, to po pierwsze, za każdym razem musiałaby zostawać z nimi pani opiekująca się świetlicą (normalnie świetlica jest czynna do 15, a zbiórki zaczynają się o 15,30 albo i później, bo wtedy dopiero mogą przyjść instruktorzy spoza szkoły). A po drugie – kto umyje podłogę, jeśli personel kuchni wychodzi zaraz po obiedzie? Woźna na pewno nie. I tak się już ma z tą klasą przeznaczoną na zbiórki, gdzie jej się harcerze ciągle pchają.

– To niedobrze – komentuje dyrektor Wikieł – gdy człowiek dużo chce, a z siebie nie daje nic. Niech zaczną coś robić, nikt im nie zabrania zbiórek, ale musi być nadzór nad sprzętem.

Myślę, że nauczyciele nie muszą być na każdej zbiórce. Przecież drużynowa ósmych klas to już dorosła osoba. Prawda, zapomniałam, to ta sama Lidka, która przed laty zorganizowała ten pamiętny biwak. Być może wtedy nie wszystko było do końca przemyślane, nie była wiele starsza od swoich podopiecznych, ale teraz? Lidka Sikora pracuje na poczcie i uczy się w wieczorówce. Mimo to znajduje w soboty czas, by poprowadzić zbiórki.

– To mnie pasjonuje – mówi Lidka. – Bardzo lubię pracować z młodzieżą. Byłam z nimi na trzech obozach jako komendantka. Przywieźliśmy wiele dyplomów, ale nie mamy gdzie tego trzymać. Wszystko, co robimy na zbiórkach, jest porozrzucane – część u mnie w domu, część u nich. Dawniej, jak był dyrektor Rutkowski, to było zupełnie inaczej. Teraz na przykład zorganizowaliśmy całą akademię i nie usłyszeliśmy ani słowa podziękowania od dyrektora. Czy nie chcę rzucić tego wszystkiego? Nieraz o tym myślę, ale mi szybko przechodzi. Przecież druhna Ostrowska – komendantka hufca – niewiele sama zrobi. Moja drużyna jest w VIII klasie, niedługo harcerze odejdą ze szkoły. Planuję dla nich dwa biwaki na zakończenie, żeby pamiętali. Nareszcie mamy swój sprzęt, bo władze gminy dały nam fundusze; możemy organizować biwaki, oczywiście, nie na boisku! Ten pierwszy biwak, to były początki mojej pracy. Harcerze mówili mi, że rodzice im pozwolili iść, nie sprawdziłam. Ale żadnej linii wysokiego napięcia tam nie było. A większość rodziców była zadowolona. Teraz pierwsi mi się kłaniają.

Druhna Ostrowska jest zadowolona z pracy Lidki. Właśnie jej drużyna zdobyła tytuł sztandarowej. Teraz się zapowiada, że w ich ślady pójdzie drużyna z klas szóstych, prowadzona przez młodzieżową instruktorkę. Takich instruktorów „własnego chowu" jest w hufcu dziesiątka. Największy pożytek jest z Lidki. Od czasu jak zdobyła uprawnienia do prowadzenia obozów, z planowaniem harcerskiej akcji letniej nie ma kłopotu.

Tak mniej więcej wygląda sytuacja w tym szczepie. Czy mogłoby być lepiej? Nawet w tych uciążliwych warunkach lokalowych? Chyba tak. Gdyby harcerze zamiast nadmiernej troski o nich i o sprzęt widzieli częściej zielone światło dla swych poczynań.

Działalność organizacji na terenie szkoły w znacznej mierze zależy od jej dyrektora. Najczęściej dyrektor daje wolną rękę opiekunowi organizacji i tylko go od czasu do czasu rozlicza. To jest chyba rozwiązanie optymalne. Są też inne przypadki. Byłam kiedyś w liceum, którego dyrektor uważał, że bez niego nikt sobie nie poradzi. Nic co młodzieżowe nie było mu obce. Mianował się sam, zależnie od okoliczności, najstarszym harcerzem, najstarszym ohapowcem, razem z uczniami tańczył i śpiewał w szkolnym teatrzyku. Uczniowie tak się do tego przyzwyczaili, że zupełnie nie chciało im się robić coś samemu – po co, jak dyrektor na pewno coś fajnego wymyśli? A dyrektor sypał pomysłami jak z rękawa.

Dyrektor Wikieł też troszczy się o uczniów, tylko na swój sposób. Nie pozwala im na wiele, bo może się coś stać, bo zniszczą sprzęt. Troska i odpowiedzialność to cechy niezbędne, w sytuacji, gdy odpowiada się za tylu ludzi. Ale można przedobrzyć. **Jeśli harcerze chcą więcej samodzielności, by mogli działać, to być może jest ona im bardzo potrzebna.** Ta sytuacja kojarzy mi się ze zdarzeniem opisanym przez Wańkowicza: La Fontaine, proszony o rozstrzygnięcie, kto ma rację w dyskusji, zapytał zwracającego się, jak widzi załamywanie się światła w kryształowej karafce. Ten mu odpowiedział, że zielono, jego sąsiad przez stół, że czerwono, a sam La Fontaine widział żółto. I każdy z nich miał rację. Racja nadrzędna – to widzieć wszystkie kolory.

Jestem ciekawa, czy dyrektor Wikieł wie jaki kolor widzą uczniowie i co z tą racją nadrzędną?

ANNA PACIOREK
Fot. **Krzysztof Niedźwiecki**

„Istnieją ludzie, których życie jest darem, ofiarowanym nie im samym, ale nam – ludzkości"

Albert Schweitzer (1875–1965) – „człowiek o sercu wielkim i wspaniałym", w wielu krajach świata uważany za wzór współczesnego bohatera. Jego życiorysu uczą się ze szkolnych podręczników dzieci japońskie, tureckie i koreańskie, jego postać uznali warszawscy studenci medycyny za ideał skupiający te cechy zawodowe, etyczne i moralne, jakimi powinien charakteryzować się dzisiejszy lekarz doskonały

Biały czarodziej z Lambaréné (1)

PÓŁ WIEKU W AFRYKAŃSKIM BUSZU

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Dzika przyroda i twarde warunki egzystencji w afrykańskim buszu okazały się wymarzonym wprost miejscem pobytu dla tego niezwykłego człowieka, który całe swoje życie poświęcił służbie innym. W Lambaréné – miejscowości położonej 40 km na południe od równika – na wyspie rzeki Ogowe rozpoczyna praktykę lekarską w jako tako przystosowanym do tego celu... drewnianym kurniku. ***„Kto wiele piękna doświadczył w życiu, musi w zamian dać wiele z siebie, komu oszczędzono cierpień, ten powinien innym łagodzić cierpienie"*** – napisał potem w jednym ze swoich traktatów moralnych...

Tak doktor Schweitzer rozpoczął trwającą przez ponad pół wieku nieustanną walkę z tropikiem, brakiem funduszy na budowę i wyposażenie szpitala w najpotrzebniejszy sprzęt oraz – co okazało się najtrudniejsze – z mentalnością czarnej ludności, dla której przybycie białego człowieka nigdy dotąd nie wróżyło niczego dobrego. I choć przez długie lata szpital w Lambaréné – pozbawiony urządzeń wodnych, elektrycznych i sanitarnych – niewiele różnił się wyglądem od ubogiej, murzyńskiej wioski, to przecież właśnie w tych barakach, w warunkach niejednokrotnie bardziej niż prymitywnych „biały czarodziej" – bo tak ochrzcili dr Schweitzera tubylcy – czynił istne cuda. Leczył typowe choroby tropikalne: malarię, śpiączkę, trąd, operował, nastawiał złamane kości, opatrywał rany. Początkowo pomagała mu w tym żona, a po jej wyjeździe... miejscowy kucharz Józef, awansowany na pielęgniarza.

„Oganga to wielki czarodziej"

Niebawem wieść o cudownych uleczeniach rozeszła się po całym dorzeczu Ogowe. Zaczęły więc ciągnąć do Lambaréné z odległych nieraz o kilkaset kilometrów wiosek istne pielgrzymki chorych wraz z towarzyszącymi im tłumnie – jak nakazywał zwyczaj – rodzinami. ***„Oganga to wielki czarodziej"*** – powtarzali między sobą czarnoskórzy pacjenci. ***„Najpierw człowieka zabija, a później go leczy"***. Dla Murzynów sen narkotyczny równoznaczny był bowiem ze śmiercią. I choć nie rozumieli sensu większości zabiegów czynionych przez „czarodzieja", darzyli go nieograniczonym zaufaniem. Ze ślepą wiarą i absolutnym posłuszeństwem poddawali się każdej kuracji. Czasami robili to aż nazbyt gorliwie: ***„Nigdy nie jestem pewien, czy mimo dokładnych wskazówek, których przed odejściem muszą się wyuczyć na pamięć, nie zjedzą maści przeznaczonej do smarowania, lub nie połkną od razu całej ilości pigułek przeznaczonych na długotrwałą kurację"*** – niepokoił się Schweitzer.

Czarnoskórzy pacjenci pilnie śledzili każdy ruch doktora, nieustannie obserwowali jego stosunek do innych chorych. Wynikały nieraz stąd nieporozumienia, albowiem zdarzało się, że ten czy ów widząc, iż dostał mniejszą dawkę leków niż jego sąsiad, wnioskował, że leczą go gorzej i mniej dokładnie, a więc dzieje się mu krzywda. Wówczas stawał się natrętny i dokuczliwy, domagając się dodatkowej porcji leków. Na nic przydawały się tłumaczenia i perswazje doktora – on wiedział swoje! Napiętą sytuację rozładowywało zwykle kilka łyżeczek „czerwonego lekarstwa", czyli lekko osłodzonej i zabarwionej wody, po zażyciu której szczęście pacjenta nie miało granic.

Im więcej wyleczonych opuszczało wioskę, tym liczniejsze grupy nowych przybyszów ściągały z coraz to odleglejszych okolic. Szpital w Lambaréné, obliczony początkowo na pięćdziesiąt łóżek, zaczynał powoli pękać w szwach. Trzeba było koniecznie dobudować nowe pomieszczenia, powiększyć zaplecze gospodarcze i obszary upraw. Doktor Schweitzer musiał więc w pewnym momencie stać się architektem, stolarzem, cieślą, rolnikiem i nie wiadomo czym jeszcze. W sobie tylko wiadomy sposób nakłaniał koczujące wokół szpitala rodziny pacjentów, aby wzięły się do karczowania dżungli. Następnie na oczyszczonym już kawałku ziemi zakładano ogrody owocowe i warzywne, zaprowadzono hodowlę drobiu i mlecznych kóz, zapewniając w ten sposób coraz to większej gromadzie chorych i zdrowych ludzi systematyczne wyżywienie.

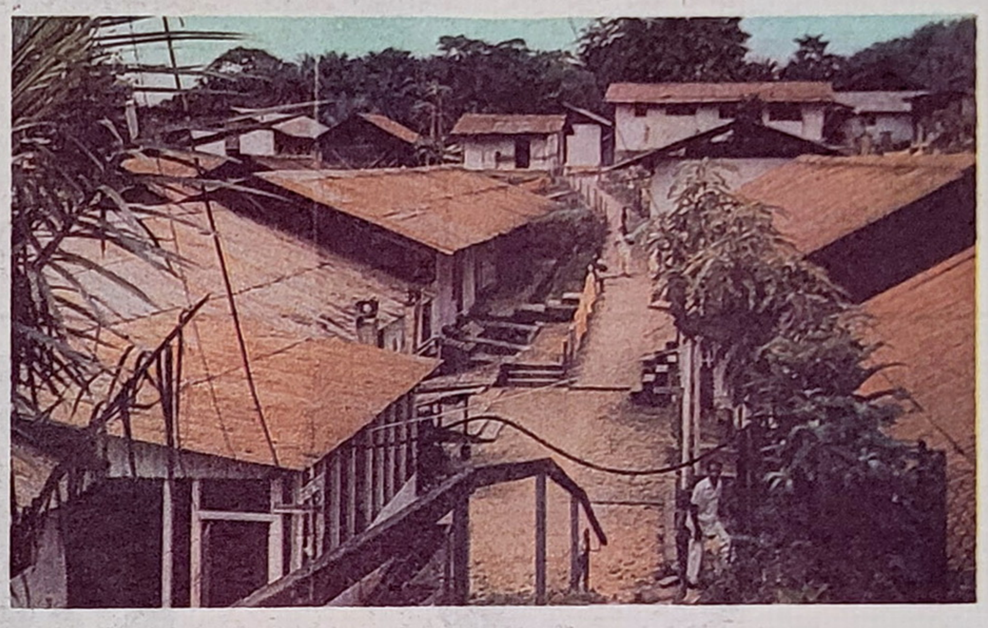

W tych barakach – bardziej przypominających murzyńską wioskę niż szpital – „biały czarodziej z Lambaréné" czynił istne cuda

„Jestem życiem, które chce żyć..."

Niemal każdy w owym czasie zadawał sobie pytanie: dlaczego ten tak utalentowany muzyk, którego sława jako niezrównanego odtwórcy utworów organowych Bacha rozeszła się po całej Europie, nagle zaszywa się gdzieś w dalekim i dzikim afrykańskim buszu? Czym tłumaczyć ucieczkę od wygodnego, cywilizowanego świata? Czy było w tym pragnienie sprawdzenia samego siebie w najtrudniejszych warunkach, skłonność do bezinteresownych poświęceń, czy może po prostu zwyczajne szaleństwo? Bo i takie przypuszczenia wysnuwano wielokrotnie, próbując dociec prawdziwych motywów owego „dobrowolnego zesłania" trzydziestoparoletniego mężczyzny. Niektórzy coś nawet przebąkiwali o wielkim zawodzie miłosnym...

Dla tych, którzy już wcześniej wiedzieli o opiece, jaką Schweitzer jeszcze za czasów studenckich otaczał porzucone dzieci i ludzi z tzw. marginesu społecznego, pomysł wyjazdu do Afryki nie był żadnym zaskoczeniem, lecz niejako naturalną konsekwencją głoszonej wcześniej na wykładach i w pismach filozoficznych idei **„czci dla życia"**. Stała się ona podstawową zasadą etyczną, którą nie tylko głosił przez długie lata, lecz również realizował do końca swych dni.

„Jestem życiem, które chce żyć wśród innego życia, które też chce żyć. Muszę więc szanować życie!"

Wielki moralista naszego wieku wierzył, że stosowanie jego idei doprowadzi wreszcie do zasadniczych zmian w stosunkach międzyludzkich, a nawet międzynarodowych. Wierzył bowiem, że w każdym człowieku tkwi utajona tęsknota do czynnej dobroci...

I właśnie dlatego na Wielkanoc roku 1913, zaledwie w miesiąc po uzyskaniu stopnia doktora medycyny, Albert Schweitzer wraz z żoną – pielęgniarką opuścił rodzinne Günsbach i wsiadł na statek, by po trzech tygodniach żeglugi przybić do brzegów Czarnego Lądu.

cdn.

TERESA MACISZEWSKA

repr. (jd)

Monolog kibica toruńskiego „Pomorzanina"

Ludwik Czachowski, były obrońca „Pomorzanina" Toruń i zarazem kapitan narodowej drużyny, stanowił zaporę trudną do przebycia

ZAGRAJ RAZ JESZCZE FLISAKU

Ojwzdychamy do tamtych czasów, wzdychamy. Zaledwie kilka lat upłynęło, a ile się u nas zmieniło. Na gorsze. Bali się panicznie przyjeżdżać do Torunia sportowcy innych miast. Tu zostawiał punkty prawie każdy. Gdyby je wszystkie zamienić na kamienie, nie sprowadzaliby szacowni ojcowie grodu szydłowieckich piaskowców. Naszych starczyłoby aż nadto na wybrukowanie restaurowanej niedawno ulicy Szerokiej. Tak, tak. Uniwersyteccy żacy potrafili wygrywać nie tylko teleuniwersiadę. Lekkoatleci, a przede wszystkim koszykarze, stanowili trudny do zgryzienia orzech; spłynęła stąd i krakowska „Wisła", i „Gdańscy Korsarze" nie mogli trafić w cel, i warszawska „Legia" gubiła u nas zapał do walki... W Pałacu Sportowym, sam nie wiem skąd ta buda ma tak wytworną nazwę, zwycięstwa rezerwowano tylko dla „Toruńskich Pierników".

Po drugiej stronie Wisły, na Podgórzu, prym wiodły dziewczyny z „Viktorii". Piłkarki ręczne pozazdrościły studentom sukcesów i na ich upór, raczej napór, też nikt lekarstwa nie mógł znaleźć. Równie efektywnie ścigali się po szosie kolarze z „Agromenu". Jednego z nich powołano nawet do reprezentacji kraju na Wyścig Pokoju. Ale na WP nie pojechał; na kilka dni przed startem wykryto u niego jakąś wadę serca. Jak to się stało, że nie znaleziono jej wcześniej? Jeździł – i to znakomicie – przez sześć lat. A tu naraz... Wykołowano chyba chłopaka... Mieliśmy też doskonałych żużlowców, bokserów, ciężarowców, nawet piłkarze walczyli o II ligę. Ale przede wszystkim mieliśmy hokeistów z „Pomorzanina".

Boje o ekstraklasę, o ile pamiętam, trwały cztery lata. Już w trzecim roku batalii tylko przypadek sprawił, że nasz „Pomorzanin" nie znalazł się w grupie najlepszych. Na finiszu rozgrywek II ligi dał się wyprzedzić... jedną bramką. Oj, liczyliśmy wtedy gole! Jednak w kolejnym sezonie (1964/65), żeby nie zachodziła potrzeba ponownego rachowania, nasi chłopcy strzelali po... dwadzieścia pięć bramek w meczu. I poszli, jak mówią bokserzy, za ciosem. Beniaminek ekstraklasy okazał się niezwykle groźny. Zdobył wicemistrzostwo kraju. **Wiśniewski** w bramce, **Czachowski** w obronie, **Stefaniak** z **Załadasem** w ataku – to był skład, jakiego Toruniowi każdy mógł pozazdrościć.

Jednak nad grodem Kopernika zawisło jakieś fatum. Zaginął słuch o koszykarzach, tułają się teraz po niższych klasach; o lekkoatletach, bokserach i piłkarzach lepiej nie wspominać. Hokeiści Kolejowego Klubu także przegrali ekstraklasę. Właśnie ich regres boli najbardziej.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że w polskim sporcie rządzą czasami dziwne prawa. Nazwałbym je prawami pięści. Silniejsi, bardziej możni, bezkarnie podkupili kilku najlepszych hokeistów. Najlepszych, bo słabych nikt nie potrzebuje. Oficjalnie o tym procederze mówi się jako o zmianie klubowych barw. Śmiesznie brzmi takie określenie, kiedy człowiek wie, że jest inaczej, że w grę wchodzą duże pieniądze, a nie chęć np. studiowania w określonego

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Fot. **CAF**

REDAKCYJNA POCZTA

Kłopoty gospodyni klasy

Jestem uczennicą VI klasy, a zarazem jej gospodynią. Chodzę do szkoły podstawowej w Gdyni. Przeczytałam w „Redakcyjnej Poczcie" listy, ktorych autorki skarżą się na złe zachowanie swoich kolegów. W naszej klasie są również chłopcy, którzy lubią rozrabiać. Wszyscy nauczyciele twierdzą, że nasza klasa jest okropna pod względem zachowania. Gdy nie ma jakiegoś nauczyciela lub nauczycielki w szkole, przychodzi ktoś, zada nam coś, abyśmy siedzieli spokojnie i nie rozrabiali, a gospodarzowi każe zapisywać niegrzecznych uczniów. Klasa zaraz po wyjściu nauczyciela zaczyna szaleć. Zapisywanie nie jest dla mnie miłym zajęciem, ale cóż robić muszę zapisywać, aby się uspokoili. Oczywiście wymyślają mi za to, nawet odgrażają się, że wytrą mnie śniegiem po lekcjach. Wiem, że funkcja gospodarza nie jest łatwa. Podjęłam się jej jednak. Myślałam, że zmienię zachowanie w naszej klasie, ale nie udaje mi się. Proszę, aby czytelnicy „Świata Młodych" dopomogli mi, dali jakieś rady, bym mogła zapobiec awanturom w naszej klasie. Chciałabym, by inni gospodarze lub gospodynie klasy napisali jak u nich załatwia się takie sprawy.

Gospodyni klasy VIa – Marzena

Polecam naturalną rozmowę

Pawle, Twój list ukazał się w 149 nr „ŚM". Znam chłopaka, który strasznie się bał, a może się wstydził podejść do dziewczyny, która stała na korytarzu i rozmawiała z koleżankami. Przezwyciężył jednak nieśmiałość i podszedł do niej. Zapytał czym się interesuje i w jaki sposób odpoczywa. Ty możesz na przykład zaproponować jej wspólne pójście na lodowisko. Zainteresuj się jej przyjaciółkami, kolegami, zapytaj czy ma psa. Pamiętaj, nigdy nie planuj sobie „sceny teatralnej", lecz postaraj się, żeby to była naturalna rozmowa.

Danka z Białegostoku

Coś tylko dla siebie

Mam 14 lat. Zdałam do ósmej klasy. Poznałam chłopca, który chce do mnie pisać. Cóż z tego, jeśli mama powiedziała, żebym się nie ważyła korespondować z jakimkolwiek kolegą, bo inaczej, gdy znajdzie jakiś list, będzie źle. Mama uważa, że na nawiązanie znajomości z chłopcem jestem jeszcze za smarkata; mam czekać aż skończę 18 lat. Powtarza mi to bez przerwy, a co najgorsze, czyta moją korespondencję. Bardzo proszę, poradzcie mi jak mam wpłynąć na mamę.

Ala

OD REDAKCJI: Mama nie ma racji. Masz prawo do prowadzenia korespondencji pod warunkiem, że nie zabiera Ci to czasu przeznaczonego na odrabianie lekcji i pomoc w gospodarskich zajęciach. Powiedz mamie z kim korespondujesz, czytaj jej fragmenty listów, pomów z nią serdecznie i po przyjacielsku, że masz prawo do swoich małych tajemnic. Mamy nadzieję, że Cię jednak zrozumie. (bs)

360 godzin w Indiach (2)

DELHI - czyli zawrót głowy od zabytków

W stolicy Indii, Delhi, pokazano nam tak wielką ilość wspaniałych zabytków, że dostałem kręćka i wszystko mi się pomieszało: meczet Dżama czyli Piątkowy, największy w Indii z r. 1648, mauzoleum Humajuna z roku 1565, 72-metrowy minaret Kutb z XII wieku, Stary Fort z Czerwonym Fortem... Właśnie, Stare Delhi zaczyna się zwiedzać od Czerwonego Fortu wybudowanego w r. 1648. Zewnętrznie wygląda on jak groźna forteca, ale za murami znajdujemy pałacowe pomieszczenia mieszkalne, audiencyjne, budynek haremu (niestety pusty) i Perłowy Meczet z białego inkrustowanego drogimi kamieniami marmuru. Największe wrażenie zrobiła jednak na mnie wspaniała białoróżowa świątynia Birla, na dziedzińcu której stoją marmurowe słonie naturalnej wielkości.

Kilometrami ciągną się ciasne uliczki Starego Delhi. Obudowane niskimi domami, stanowią właściwie nie kończące się bazary i „punkty usługowe dla ludności". Parter każdego domu to sklepiczki, smażalnie placków, prażalnie orzeszków, przeplatające się z warsztatami szewskimi, krawcami, fryzjerami pracującymi na chodnikach, drukarzami tkanin. Kontrasty tysiącletnie. Obok mielącego na żarnach zboże – reperacja skuterów, obok astrologa i wróżbity – sprzedaż minikomputerów. W środku tego zgiełku, nawoływań handlarzy, tłumu pieszych, riksz rowerowych najrozmaitszych rodzajów, taksówek, których spaliny mieszają się z kadzidłami drzewa sandałowego i odorem łajna osłów, wielbłądów i świętych krów, przepycha się z szybkością 10 km na godz. nasz wytworny autokar. Na tych ludziach robimy wrażenie bogaczy, albo może „stukniętych", kiedy patrzą jak fotografujemy ich codzienność.

Nowe Delhi założone zostało przez Brytyjczyków w roku 1911. Różni się od starego szerokimi ulicami, przestrzennością i dużą ilością ogrodów. Znajdują się tu wielkie gmachy administracji państwowej, m. in. budynek parlamentu i prezydenta, dzielnica ambasad. Widoki zbliżone do europejskich nie robią już na nas wrażenia.

W centrum miasta znajduje się olbrzymi plac, od którego odchodzą gwiaździście szerokie ulice obsiadłe sklepami z wyrobami artystycznego rękodzieła. Tysiące sklepów oferujących wspaniałości o najwyższej wartości artystycznej: rzeźby z drzewa, kości słoniowej i metalu, inkrustowane meble drewniane i marmurowe. Wyroby ze srebra i niezwykle wypracowana biżuteria, obrazy malowane na jedwabiu, lalki i instrumenty muzyczne.

Nasz wspaniały hotel „Vikram" znajduje się na przedmieściu, tuż obok Polskiego Ośrodka Informacji. Odgrodzony jest od ulicy żelaznym parkanem, za którym znajduje się postój taksówek. Pod parkanem koczuje rodzina. Płachta przywiązana do parkanu i bambusów chroni od słońca i deszczu. Mają wózek do przewożenia dobytku, łóżko i kołdry, gotują na gazowej kuchence (patrz zdjęcie). Mają stałą pracę, myją taksówki. Kierowcy nie są właścicielami taksówek, a wynajmują je od bogatszych od nich właścicieli.

Tuż za hotelem zaczyna się ulica prywatnych wilii o wyszukanej architekturze. W nocy pilnują ich prywatni policjanci. Wewnątrz krząta się liczna służba. Za samo jedzenie można znaleźć dowolną ilość sług, ponieważ w kraju tym panuje olbrzymie bezrobocie. Przed willami mają swoje stanowiska żebracy. Przechodzący wrzucają im do miseczki drobne monety albo tylko jedno ziarnko ryżu czy kukurydzy. Do wieczora zbiorą miarkę i zaspokoją głód.

Tekst i zdjęcia: **HENRYK CHMIELEWSKI**

Ten widok był dla mnie całkowitym zaskoczeniem. W jednej ze świątyń w ołtarzu stała wystrojona rzeźba małpy. Bóg – małpa nazywa się Hanuman, jest symbolem siły i zaradności

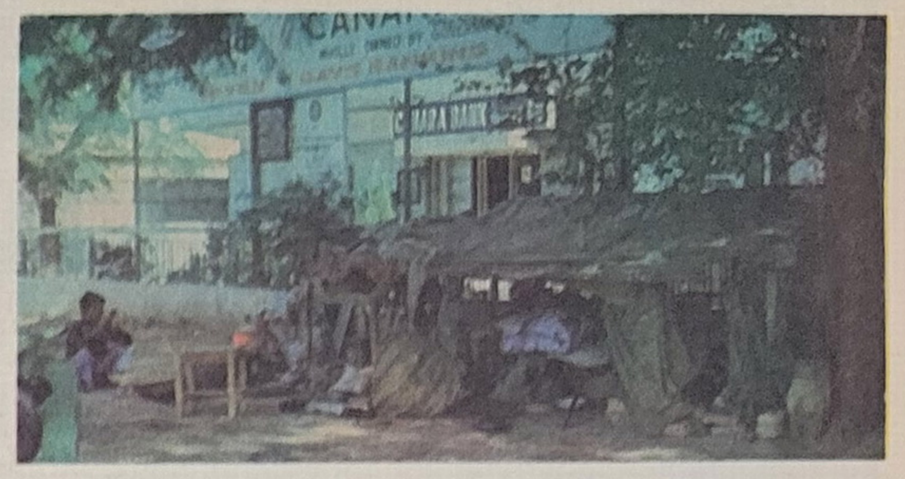

Mieszkanie biedaków obok naszego hotelu

Stare ulice delhijskie to jeden wielki bazar

Zaklinacz węży

Świątynia Birla – jak domek z bajki zachwyciła mnie najbardziej

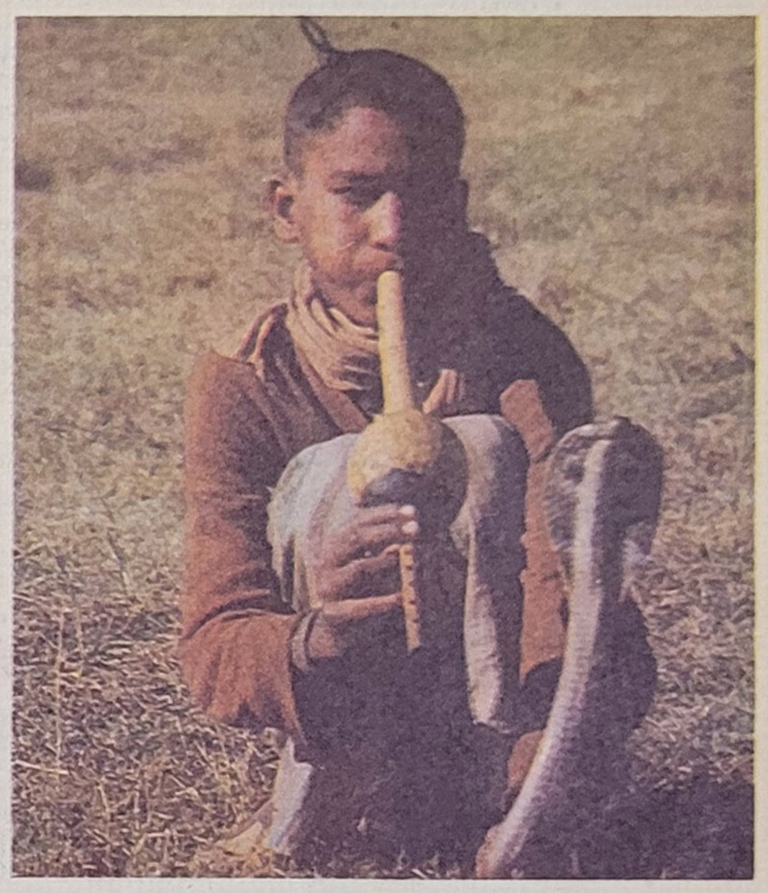

„11,40 GMT NEW-PORT"

BITWA POD BORNHOLMEM (17)

Świeży, północno-wschodni wiatr, fala jak trzeba. Wychodzimy z główek Świnoujścia na silnikach, ciągnąc na holu te jachty, które nie mają tego warczącego urządzenia. Jeszcze trochę, dostać się na otwartą przestrzeń, tam zwolnię hol i postawię żagle. Dziób „Ogara" co chwila wznosi się wysoko i opada rozbijając z szumem następną falę. Ale rozkołys! Bryzgi wody docierają od dziobu aż tu do kokpitu, gdzie stoję i rozglądam się wypatrując przeciwników i komisji regatowej. Oprócz mnie jest dwudziestu zawodników na rozmaitej maści jachtach, z drugiej i trzeciej klasy. Na „Ceti" Władek Góralski z twardej szkoły Jurka Siudego jeszcze na „Conradzie", na mahoniowym „Enifie", tym samym, na którym startowałem przez dwa sezony, rozpoznaję Roberta Kiełpińskiego. Jest i „Karfi", mój najgroźniejszy konkurent. Jurek miał jakieś kłopoty przed wyjściem ze Szczecina i płynął całą noc do Świnoujścia przez zamglony Zalew Szczeciński. Widziałem go rano, jeszcze przed inspekcją jak walczył ze złośliwościami, których nie szczędził mu nie ukończony całkiem samoster. Był zmęczony i wściekły, po swojemu to ukrywając. Teraz grzeje z postawionym smukłym grotem prosto pod wiatr i fale, zatrudniając wszystkie 25 koni swojego silnika, jak zwykle zresztą. Zbliża się do mnie, przechodzi mi koło rufy dwa metry.

– Ty, wstrętny Siudy, jak ci tam?

– Ehh – odpowiada wyczerpująco i już go nie ma. Wszyscy już są, kręcą się koło holownika – statku komisji regatowej – zakotwiczonego na północny wschód od główki wschodniego falochronu.

Nieco tłoczno, do startu 20 minut, pójdę trochę pod górę, to znaczy pod wiatr, tam postawię spokojnie żagle i wrócę na start.

Nie słyszałem słabych, bo dalekich wystrzałów z rakietnicy i chyba mam źle wyregulowany zegarek, gdyż kończąc stawianie żagli zauważyłem dziwne prawidłowe zgrupowanie jachtów, zupełnie tak, jakby szły już do startu.

– Niemożliwe – powtarzam głośno, rzucam nieuporządkowane fały, odpadam i szybko na start. Nie, to złudzenie. Widzę dymek i wzlatującą rakietę, flagi jeszcze wiszą, to sygnał przygotowawczy, do startu jeszcze pięć minut, ale ja tu jestem, cholera, za daleko. Nie zdążę. Silnik na luzie, niepotrzebny już, a i tak nie mogę użyć, za późno, przesuwam manetkę gazu do zera i słyszę jak milknie. Po chwili zgromadzone za statkiem komisji jachty zaczynają ustawiać się w sznurek i kolejno wychodzą zza niego. Wszyscy idą na wiatr, prawym halsem, widzę ich przed dziobem, trochę z lewej, idą mi na przecięcie. Płynę z wiatrem, muszą im ustąpić, odpadam w kierunku główki falochronu, przejdę im daleko przed dziobami bo wbijać się między nich, byłoby samobójstwem. Z mojej prawej strony widzę boję, którą biorę za znak startowy, mijam ją i kręcę w lewo w kierunku statku komisji. Płynę teraz prawie równolegle do tych sznurkiem idących jachtów, ale w przeciwnym kierunku. Jak dojdę do ostatniego, to wyostrzę do wiatru i pójdę jakiś czas lewym halsem. Tym ostatnim jest – o dziwo – Jurek. Coś krzyczy, ale obaj jesteśmy tak zajęci opanowaniem swoich narowistych koni, że nie bardzo się rozumiemy. On mi coś pokazuje, biorę to za gest „niech to jasny szlag trafi, patrz jak mi uciekli". Odmachuję mu podobnie i przechodzę za jego rufą. Rozjeżdżamy się. Mijam po prawej statek, widzę jak wszyscy mi machają rękami. Jest tam również Andrzej, który jakoś dziwnie kiwa ręką. Fajno, żegnajcie przyjaciele, trochę skopałem ten start, ale to odrobię. „Ogar" mnie jeszcze nie zawiódł, wiadomo, nie ma sobie równych. „Karfiego" mogę się jedynie bać, ale 200 mil przed nami i tradycyjnie, jak mi się źle wiedzie na początku, to wygrywam regaty.

Sześć węzłów na liczniku, 28° do wiatru, samoster prawie niepotrzebny, „Ogar" idzie równo. Po paru minutach odwracam się i widzę, że na statku machają dalej, co jest? Ogarnia mnie niepokój. Coś poknociłem, nie przeszedłem linii startu? A może? Jak ta linia startu wygląda? Trzeba sprawdzić instrukcję żeglugi. Gdzie ona jest, niech to wszyscy diabli, przecież ja jej nie widziałem na oczy. Wpadam na dół, do stołu nawigacyjnego, leży na wierzchu, na mapach. Biorę do ręki, czytam „linia startu wyznaczona jest przez statek komisji regatowej i główkę wschodniego falochronu. Należy ją przekroczyć z kierunku SE na NW". Jasna franca, do stu tysięcy zdechłych wielorybów w puszkach! Wracaj matole, nie chciało ci się zajrzeć do instrukcji. Klnę na czym świat stoi. Kręcąc zwrot zeruję licznik logu. Na starcie okazuje się, że ujechałem równą milę. W jedną i drugą stronę to daje dwie mile. Ładnie. Będzie trudno to odrobić. Przechodzę koło rufy holownika, startując ponownie, Aśka Zdrojewska, sędzia główny regat, śmieje się zaraza do mnie jak z najlepszego dowcipu. A przeciwnicy daleko, ledwo ich widać. Tak mi się zaczął wyścig, którego oficjalna nazwa brzmiała „Drugie Bałtyckie Regaty Samotnych Żeglarzy o Puchar Poloneza", a który na własny użytek nazwałem „Bitwą pod Bornholmem".

Mam przed sobą zadanie niełatwe. Po powtórnym starcie nie robię zwrotu, lecz płynę prawym halsem, prosto za całą grupą jachtów. Wiatr 3 do 4, wszystkie jachty mocno przechylone na lewą burtę. Na kursie widzę najbardziej prostą, znajomą sylwetkę „Karfi". Jest najwyżej, idzie najostrzej ze wszystkich. Normalnie, to przecież jedyny obok „Ogara" jacht z serii „Taurusów". Pozostałe są już coraz większe, bliższe i wszystkie są bardziej w lewo, idą pełniej i wolniej od „Karfi", do którego wcale się tak szybko nie przybliżam. Nawet wydaje mi się, że dystans się nie zmniejsza. Wyłączam samoster, steruję ręką. Zarabiam drobne punkty. Jurek jest zmęczony, musi więcej ode mnie powierzać ster automatowi. Wiele na tym nie straci, ale liczę na to, że go po prostu przetrzymam. Nie zejdę z pokładu, czort z herbatą, wytrzymam do rana na papierosach. Czuję się dobrze, wyspany i wypoczęty. Po pół godzinie widzę, że „Karfi" jest dużo niżej, już mi go przesłania genoa. Wykonuję drobne ruchy sterem, każdą falę biorę starannie, każdy silniejszy szkwał wykorzystuję lekko wyostrzając i zarabiając może metr, może dwa na wysokości. Siedzę twardo na sterze i nie ma siły, by mnie od tego odciągnąć. Próbuję ustawić inaczej wózek grota. Jakby lepiej. Nie mogę nic więcej zrobić, tylko bardzo starannie i uważnie sterować.

Mijały godziny i zbliżał się zmierzch, a odległość między nami nie zmniejszała się, choć widziałem, że mam dużą przewagę w wysokości. Teraz wystarczy, że wiatr trochę przejdzie na północny i leżę. Jeśli odkręci na wschód to ja jestem górą. Obaj już wysunęliśmy się na czoło, wszystkie jachty zostały daleko z tyłu i niżej, z lewej. Jedynie „Ceti" i „Enif" jeszcze się nas trzymały.

c.d.n.

KAZIMIERZ JAWORSKI

Fot. **S. Rakowski**

MAŁY SŁOWNIK ŻEGLARSKI (17)

GŁÓWKI – zakończenie falochronu lub mola w miejscu, gdzie znajduje się wejście do portu. Na główkach, ustawione są latarnie, dające w nocy (patrząc od strony morza) prawa zielone światło a lewa czerwone.

KOKPIT – wgłębienie w pokładzie jachtu, w kształcie skrzyni.

WYOSTRZAĆ DO WIATRU – zmieniać kurs na jednostce żaglowej w ten sposób, aby kąt między kierunkiem wiatru a dziobem jachtu – zmniejszał się. Wyostrzenie kończy się w momencie, gdy żagle tracą wiatr i zaczynają łopotać.

ODPADAĆ – zmieniać kurs na jednostce żaglowej w ten sposób, aby kąt między kierunkiem wiatru a dziobem jednostki – zwiększał się.

WĘZEŁ – jednostka miary szybkości na morzu równa 1 mili morskiej (1852 metry) na godzinę.

LOG – przyrząd do mierzenia szybkości statku względem wody. Log mechaniczny – przyrząd do mierzenia drogi przebytej przez statek. Składa się ze śruby wleczonej za statkiem na długiej linie i z zegara. Lina przenosi obroty śruby na mechanizm zegara logu.

GWIAZDOZBIÓR

Narodziny miasta FILMOWYCH GWIAZD

Kolebka filmu w czasach kina niemego, stolica światowego kina, miasto gwiazd, ziemia obiecana, miasto marzeń, łatwej kariery, źródło demoralizacji, Sodoma i Gomora – różnie nazywano Hollywood, miasto, którego dzieje wiążą się z historią filmu amerykańskiego i nie tylko amerykańskiego. Kiedy bracia Lumière w historyczny dzień narodzin kina, 28 grudnia 1895 roku, pokazywali w Paryżu pierwszy film, pobierając za wejście jednego franka, na terenach przyszłej stolicy kina istniały nieliczne rancha pierwszych osadników ze wschodnich Stanów Ameryki i z Europy. Wykupywali oni za grosze tereny, których wartość wzrosła później ponad wszelką miarę. Pierwszymi gospodarzami tej ziemi byli Indianie z plemienia Cherokee i Cahuenga, o czym dziś świadczą jedynie nazwy ulic w Hollywood: Aleja Cherokee i Bulwar Cahuenga. Indianie bowiem w powstawaniu miasta przemysłu filmowego nie mieli swojego udziału. Już w 1883 roku syn jednego z farmerów z Michigan, Hervey Henderson Wilcox otworzył w Los Angeles kantor sprzedaży nieruchomości i sam zakupił teren w samym środku Cahuenga Valley. Zbudował tam posiadłość, obsadził teren drzewami owocowymi, a jego żona, pani Daeida Wilcox Beweridge nazwała ich rancho – „Hollywood".

Wielką rolę w rozwoju miasta odegrał też Francuz Paul DeLongpré, arystokrata z Lyonu, malarz kwiatów. Odniósł wielkie sukcesy w Nowym Jorku, zrobił tam majątek i osiedlił się w Kalifornii. Zakupił duże tereny i zajął się hodowlą kwiatów. W tym czasie osiedle Hollywood liczyło zaledwie 200 mieszkańców. Kiedy Francuz umierał, Hollywood było już ziemią obiecaną kina, a rozwój jego przyspieszył przemysł filmowy.

Zarówno osadników jak i filmowców ściągał do Kalifornii wspaniały klimat, 350 dni pogodnych w roku sprzyjało hodowli roślin i produkcji filmów. Była to ziemia obiecana filmu nie tylko ze względu na kalifornijskie słońce, ale i na odległość od Nowego Jorku. Odległość chroniła bowiem producentów filmów przed zachłannością spółki filmowej Tomasza Edisona. Ten genialny wynalazca okazał się również człowiekiem interesu. Najmując sprytnych adwokatów zdobył patent i przypisał sobie także i wynalazek kinematografu. Od roku 1897 poprzez własnych detektywów ścigał wszystkich posiadaczy aparatów i realizatorów filmowych, prowadząc z nimi niezliczone ilości procesów. Dopiero w roku 1915 najwyższe władze w Waszyngtonie unieważniły jego prawa patentowe. Zanim jednak to się stało, producenci filmowi uciekali przed detektywami Edisona do Kalifornii. Pośrednio więc i temu wielkiemu wynalazcy Hollywood zawdzięcza swój rozwój.

Ludzie kina zaczęli się tu osiedlać od 1906 roku. W 1910 przybywa już wielu producentów, a Dawid W. Griffith emigruje z Nowego Jorku ze swoim Biograph Company. W tej właśnie spółce miała swoje udziały pierwsza gwiazda filmowa – Mary Pickford. Dawid W. Griffith nazywany też „Homerem kinematografii" zaczął tu kręcić swoje monumentalne, znaczące filmy: „Narodziny narodu" i „Nietolerancja". W 1912 inny producent, Thomas Ince, zbudował Inceville w Santa Monica (dzielnica Hollywoodu), Mack Sennett – Keystone, Carl Laemmle stworzył Universal City w 1915 roku, a William Fox swoje pierwsze studio kalifornijskie założył w 1917. Na początku lat dwudziestych kręcono już w Hollywood 796 filmów w ciągu roku. Od wybuchu pierwszej wojny światowej Ameryka zajęła pierwsze miejsce w produkcji światowej aż do pojawienia się filmu dźwiękowego. Kapitaliści, ludzie interesu w przemyśle filmowym znaleźli doskonały sposób lokowania kapitałów i oni też wymyślili system gwiazd filmowych. *„To ja wymyśliłem system gwiazd* – pisał potem w pamiętnikach wielki producent Adolf Zukor – *kiedy zacząłem płacić Mary Pickford 100000 dolarów rocznie."*

Gwiazdy stawały się koniecznością hollywoodzkiego przemysłu. Popularność aktora tworzyły nie tyle jego talent, znakomite role i filmy, a raczej zabiegi producentów. Szybko bowiem oni spostrzegli, że zwykłych widzów nie interesują scenarzyści, reżyserzy, sztuka filmowa – tylko gwiazdy. A wielkie gwiazdy hollywoodzkiego kina niemego to krępy, ale wysportowany, pierwszy filmowy Zorro – Douglas Fairbanks, uwodzicielski Rudolf Valentino, Betty Davis, Clara Bow i inni. Wiele z tych gwiazd zgasił czas i dziś choćby Rudolf Valentino wielbiony niegdyś przez masy kobiet, nam jawi się jako człowiek nieciekawy, kiepski aktor. Pozostały jednak do dziś znaczące nazwiska wielkich komików tamtych czasów: Max Linder, Buster Keaton, Harold Llyod, a przede wszystkim Charlie Chaplin. Z różnych gatunków filmu, jakie się wówczas rozwijały, komedia była najmocniejsza i aż do wynalezienia dźwięku znajdowała się w czołówce kinematografii.

Głównym twórcą filmowych komedii był wtedy Mack Sennett, aktor, potem asystent Griffitha, który w 1912 roku zrobił pierwszą komedię dla firmy Keystone. Charakterystyczny styl komedii Sennetta: gonitwy, przyspieszenia ruchu, akrobatyczna zręczność aktorów, niespodziewane karambole, rozbijanie, demolowanie wnętrz stały się cechami amerykańskiej komedii. W jego filmach występowały też piękne dziewczęta w strojach kąpielowych. W studio Sennetta w roku 1913 zjawił się Charlie Chaplin.

Początki Hollywoodu, rozkwit niemego kina to już odległa historia filmowej sztuki, dlatego też zyskują coraz większą wartość stare dokumenty i fotografie. Posiadaczem dużych zbiorów dokumentów i zdjęć z tego okresu jest Robert Florey. Przybył on jako dziennikarz do Kalifornii w roku 1921 i początkowo pełnił różne funkcje przy produkcji filmów. Stał się jednocześnie wielkim reporterem, specjalistą od Hollywoodu, historykiem filmu hollywoodzkiego. Od 1952 roku poświęcił się telewizji amerykańskiej, dla której nakręcił 250 filmów z wielkimi gwiazdami. Przede wszystkim jednak napisał książkę o początkach Hollywoodu („Hollywood années zéro", Seghers 1972). Zdjęcia, które publikujemy pochodzą właśnie z jego kolekcji.

Oprac. BARBARA TYLICKA
Fot. „Ciné-Revue"

Aktorki w strojach kąpielowych z r. 1917

Typowa scena z komedii Macka Sennetta

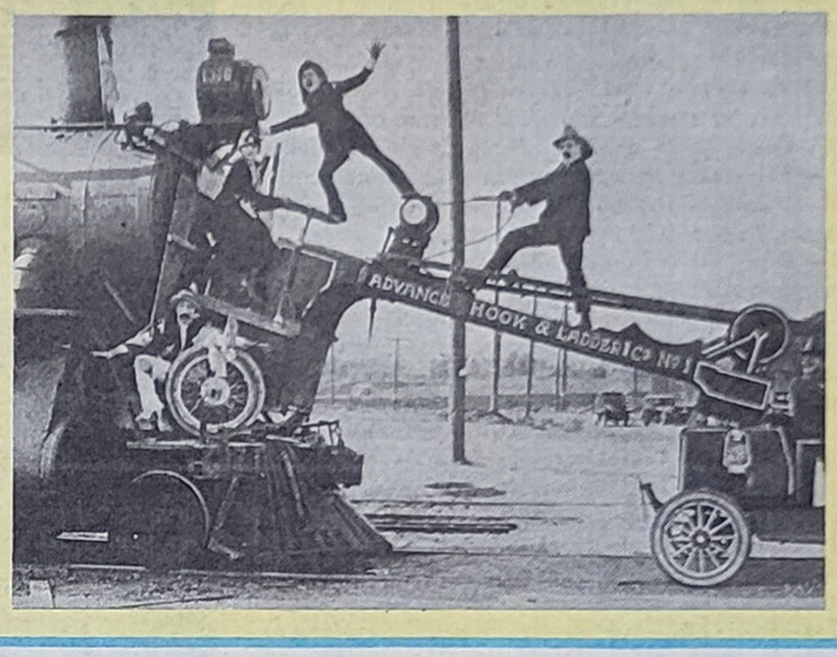

DOM MODY świata młodych

My się zimy nie boimy ...

My to znaczy te z nas, które sentymentem darzą ciuch pt. sweter. Szczególnie gdy przywieje, przymrozi, śniegiem przysypie – rzecz to (o swetrze mowa) wybitnie przydatna, ale... nie tylko wtedy. Tak naprawdę, to trudno byłoby bowiem określić którąś z pór roku jako sezon szczególnie swetrowy, pod tym względem od innych się wyróżniający. Sweter jest zawsze przydatny i zawsze na czasie – czy to jesień, czy lato, czy wiosna. No, może w zimie ciuteczkę bardziej. Zwłaszcza jeśli zima taka jest prawdziwie zimowa jak w tym roku. Gdy na dworze mróz i śnieg, to aż oczy się do swetrów śmieją!

Bo to przecież i ciepłe, i modne! Więcej, awangardowe – powiedziałabym. Praktycznie, to modne są absolutnie wszystkie swetry. Jedyna różnica między mnogością ich przeróżnych rodzajów polega na tym, że konkretnemu człowiekowi jedne podobają się mniej, inne bardziej, a jeszcze inne – wzbudzają jego zachwyt. Jeśli chodzi np. o mnie, to mój zachwyt przeogromny wzbudzają w tym sezonie swetry wzorzyste. Takie wielokolorowe, z wrabianymi w trakcie ich dziergania przeróżnymi wzorami. Pewnie jestem w tej chwili nieco nudna, bo parę tygodni temu już raz na temat takich właśnie wzorzystych swetrów pisałam, ale – jestem zdania, że na ten temat nigdy za wiele. I to wcale nie tylko dlatego, że ja je lubię, ale dlatego, że całkiem obiektywnie rzecz biorąc są bardzo ładne, bardzo zabawne, mają w sobie dużo wdzięku. Popatrzcie zresztą na zdjęcia – brzydkie to jest?!

A chociaż na pewno bardzo urodziwe, są to jednocześnie rzeczy stosunkowo pracochłonne, mają dodatkową zaletę, która wysiłek i trud włożony w ich wydzierganie znacznie rekompensuje. Wiele z nich można wykonać wykorzystując na ten cel różne resztki różnych włóczek. Które bywają w domach i w związku z tym – nic nie kosztują. Nie jest to sprawa bez znaczenia. Tym bardziej, że efekt końcowy może być naprawdę przebojowy.

RIUSZKA

III TURNIEJ WARCABOWY

O PUCHAR „ŚWIATA MŁODYCH" I GŁÓWNEJ KWATERY ZHP

Prowadzi Romuald Frey

Zadanie 1. Białe zaczynają i wygrywają w 7 posunięciu. Za prawidłowe rozwiązanie – 1 punkt.
Ustawienie kamieni: Białe: 20,24,25,31,36, 39,40,42 Czarne: 5,8,9,10,18,37,15

Zadanie 2. Białe zaczynają i wygrywają w 6 posunięciach przez zbicie wszystkich kamieni przeciwnika. Należy wskazać jak do tego doszło. Za prawidłowe rozwiązanie – 1 punkt.
Ustawienie kamieni: Białe: 33,34,35,37,39, 41,42,45 Czarne: 7,8,9,10,20,26,36

Rozwiązania należy przesyłać na adres redakcji w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie lub kartce pocztowej zaznaczcie – „Turniej warcabowy".

Zadanie 1

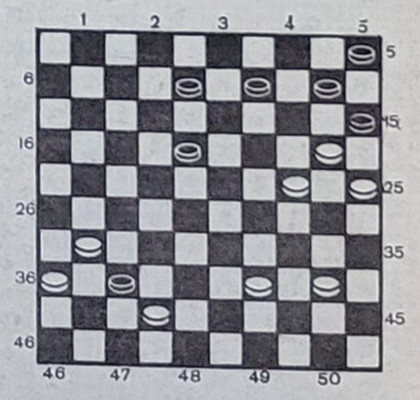

Zadanie 2

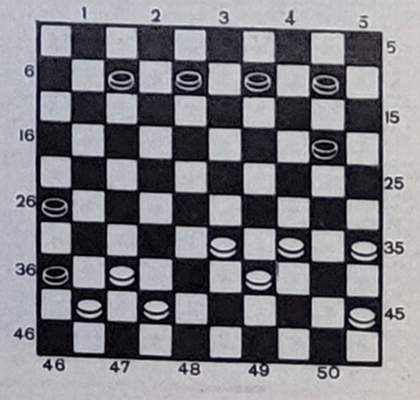

ZAGRAJ FLISAKU RAZ JESZCZE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

typu uczelni. W podobny sposób, choć pod różnymi pretekstami, odeszło ostatnio od nas aż ośmiu zawodników. Dodam, że ze względu na wiek pożegnali się ze sportem również dawni mistrzowie. Te fakty i okoliczności mogłyby rozsypać każdy zespół. Ale ludzie u nas twardzi, potrafią wyjść z każdych tarapatów. Zresztą na wszystko jest sposób. Legendarny flisak toruński też znalazł metodę na najstraszniejszą ponoć plagę historii miasta. A było to setki lat temu. Nie wiadomo skąd do grodu przybyły niezliczone zastępy żab. Jedna obok drugiej zapełniły każdy wolny skrawek ziemi. Na próżno burmistrz z rajcami łamali głowy nad sposobami pozbycia się wszystko zjadających płazów. Zawodziły kolejne próby. Kłopotom zaradził dopiero flisak, który potrafił grać na skrzypkach. Grał tak pięknie, że żaby zasłuchane w tony jego instrumentu wyszły za muzykiem z miasta. Wtedy zamknięto bramy. Teraz też chce się powiedzieć: zagraj flisaku raz jeszcze. Przed kaperownikami, plagą biednych klubów, zamkniemy wszystkie furtki...

Szkoda, że budowa dachu nad „Tortorem" trwa tak długo. Gdański „Mostostal" (Kierownictwo Grupy Robót Toruń) rozpoczął kopanie fundamentów jeszcze na początku 1977 roku. Podobno prace zaczęły się komplikować ze względu na dużą rozpiętość konstrukcji (76 m). Zamontowano dopiero osiem wiązarów, a gdzie dalsze dwadzieścia? Przecież obiecano, że na koniec roku ubiegłego będzie nad lodowiskiem dach. I cóż z tego? Nasi hokeiści nadal grają i trenują na obiekcie „Budowlanych" Bydgoszcz. Za ten lód trzeba płacić, za dojazdy również. A drużyna nawet nie ma własnego autokaru. Jakim cudem juniorzy zajmują czołową lokatę w swojej grupie, a ich młodsi koledzy zakwalifikowali się do finałów najbliższej spartakiady – sam nie wiem. Przecież trenują na wylanych i prymitywnych ślizgawkach.

W ekstraklasie nie ma już zespołu, który nie posiada krytego lodowiska. Nie ma co ukrywać: pod dachem gra się zupełnie inaczej. To też przyczyna, że nasi nie sprostali rywalom. Znam taki wypadek, że na jednym z wyjazdowych meczów gospodarz obiektu celowo podniósł temperaturę powietrza. Postąpił nieuczciwie. Pociliśmy się na widowni, a toruńscy hokeiści wprost dostali zadyszki. Przegrali mecz z przyzwyczajonym do ciepłoty przeciwnikiem.

Ale jak już powiedziałem, ludzie u nas twardzi. Wrócił do Torunia czechosłowacki trener **Vladislav Svoboda,** a opiekun sekcji z ramienia zarządu „Pomorzanina", były sędzia ligowy, **Teodor Długokiński,** też jest doskonałym działaczem. Zresztą wszyscy tu zakasali rękawy. Na przyszłość – to jest najważniejsze – patrzy się z optymizmem. Zespół jest bardzo młody, średnia wieku 22 lata. Sądzę, że **Remlain, Lisewski, Ludwig, Lewandowski...,** wspomagani przez doświadczonego **Krawca** i **Karlowicza,** wkrótce dadzą o sobie znać. Za rok, za dwa, „Pomorzanin" znowu znajdzie się w krajowej czołówce. Bo przecież nie może być inaczej...

Zanotował:
ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Dziś proponujemy temat, który nie był jeszcze omawiany na łamach TOMIKA. Mariusz Salamon omawia wpływ przestrzeni kosmicznej, a szczególnie Słońca i Księżyca na życie ziemskie. Ciekawe!

Uwaga, Jacek Bieniecki z Szamotuł – nie skorzystam z Twego opowiadania, jest ono zbyt mało atrakcyjne. Pracę odsyłam pocztą. Również nie skorzystam z propozycji Bronisława Czerneckiego, który proponuje zamieszczanie pytań z dziedziny astronomii, jako rodzaj rozrywki czy quizu, na które w następnym tygodniu zamieszczalibyśmy odpowiedzi. Wydaje mi się, że propozycja ta jest zbyt szkolna, przecież wystarczy zajrzeć do encyklopedii, aby na nie odpowiedzieć.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

BADANIA MARSJAŃSKIEGO GRUNTU NA GŁĘBOKOŚĆ KILKUNASTU METRÓW

Sondy „Wiking 1" i „Wiking 2", które dostarczyły pierwszych informacji o powierzchni Marsa, zebrały tylko dane z powierzchni gruntu. Obecnie uczeni amerykańscy zamierzają skierować na tę planetę specjalną sondę, która przeniknie na kilkanaście metrów pod powierzchnię. Pierwsze badania na terenie Kalifornii w kraterze starego wulkanu, gdzie występują piaszczyste i lawowe pola, przypominające marsjański grunt, wykazały dużą przydatność podziemnej sondy.

Sonda, która ma kształt cygara o długości 1,20 m i średnicy 9 cm, zostanie dostarczona na orbitę Marsa. Następnie po sprowadzeniu na powierzchnię planety będzie automatycznie wstrzeliwana w głąb gruntu. Uczeni przypuszczają, że sonda dotrze na głębokość 14–20 m. Na powierzchni Marsa pozostanie tylko antena umożliwiająca przekazywanie podziemnych badań do stacji automatycznej krążącej na orbicie.

SŁOŃCE I KSIĘŻYC, A ŻYCIE NA ZIEMI

Szukając przyczyn wielkich epidemii naukowcy coraz częściej zaczęli zwracać oczy w stronę Słońca czy Księżyca i doszli do zupełnie nieoczekiwanych wniosków. Okazuje się bowiem, że między wymienionymi już ciałami niebieskimi, a niektórymi zjawiskami biologicznymi na naszej planecie występują jakieś związki. Rozmnażanie i zachowanie wirusów, bakterii i zwierząt, pobudliwość systemu nerwowego i refleks człowieka oraz zwierząt, wzrost roślin prawdopodobnie są precyzyjnie kontrolowane aktywnością Słońca i Księżyca. Kierunek badań nad tymi wpływami kształtuje się w nową dziedzinę nauki-heliobiologię.

Słońce jest gigantyczną wirującą kulą rozżarzonych gazów, w której jądrze ciśnienie sięga 200 milionów atmosfer, a temperatura 20 milionów stopni Celsjusza. Powszechnie wiadomo, że Słońce czasami staje się „nerwowe", pokrywając się plamami i wyrzucając gigantyczne fontanny żarzących się gazów.

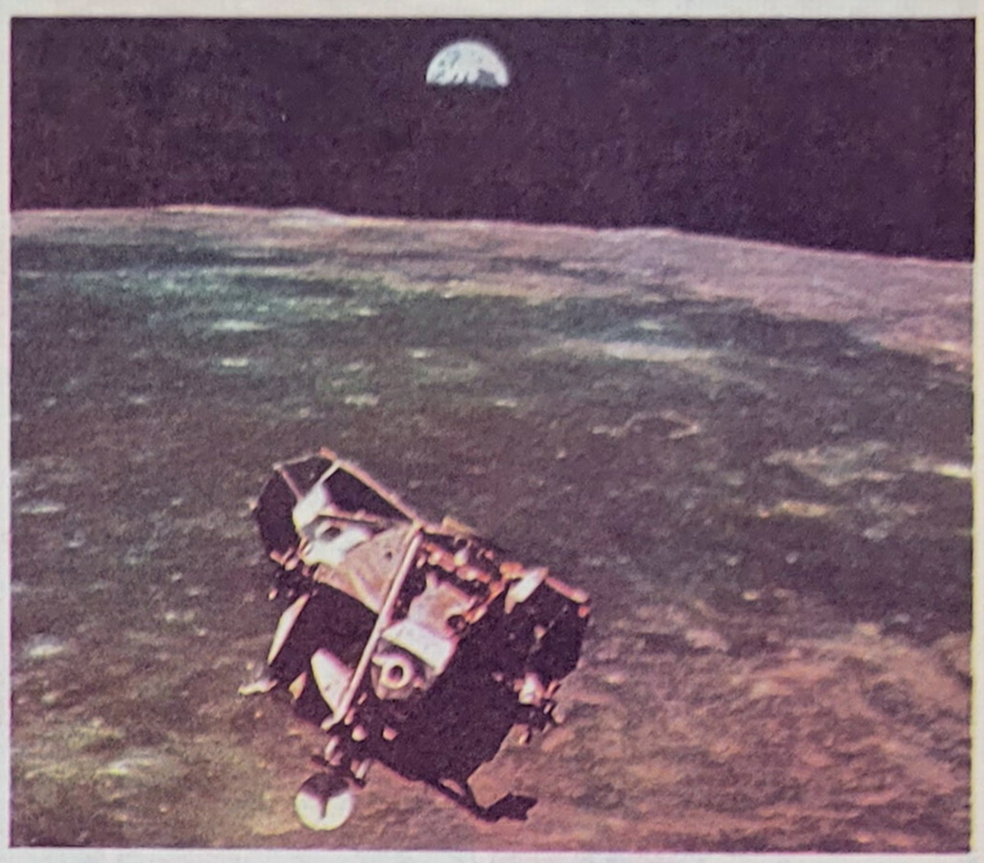

Tak wygląda Ziemia oglądana z orbity okołoziemskiej. Na pierwszym planie amerykański pojazd księżycowy na tle powierzchni Srebrnego Globu

Fot. **NASA**

Epidemie grypy

Zmiany w aktywności Słońca powodują intensywne krótkofalowe promieniowanie elektromagnetyczne. Podstawowy, najlepiej uwidoczniony ciąg aktywności naszej gwiazdy trwa około 11 lat. Zwiększona aktywność może spowodować choroby pewnych narządów wewnętrznych żywych organizmów, a nawet obumieranie tychże organizmów. Lekarze stwierdzili również, że kieruje ona liczbą leukocytów w naszej krwi.

Wirus grypy jest drobnym skupiskiem białek i kwasów organicznych, który łatwo podlega wpływom promieniowania słonecznego. Z 44 epidemii w ciągu ostatnich 250 lat, 42 nastąpiły w okresie podwyższonej aktywności słonecznej. Możliwe jest również, że różnice pomiędzy poszczególnymi wirusami grypy spowodowane są różnicami w nasileniu aktywności Słońca. Z wszystkich tych faktów wynika logiczny wniosek, iż wirus grypy, podobnie zresztą jak i inne mikroorganizmy, posiada specyficzny biologiczny mikroodbiornik przystosowany do odbioru fal emitowanych przez Słońce, ewentualnie cząsteczek złożonych z atomów wysyłanych wraz z energią z tejże gwiazdy. Urządzenie takie przejmuje sygnały i przekazuje je wirusowi w postaci zakodowanego impulsu: „Warunki się zmieniają! Przeobraź się". I wirus podlega przeobrażeniu.

Wirusy i bakterie precyzyjnie reagują na zmiany w aktywności słonecznej i oscylacji pola magnetycznego Ziemi. Wirując wokół swojej osi, Słońce obraca w stronę Ziemi bądź jedną, bądź drugą stronę, z większą lub mniejszą liczbą czarnych plam. Wirusy i bakterie niemal automatycznie reagują na zmiany na powierzchni słonecznej „twarzy" w ciągu doby słonecznej (27 dób ziemskich).

Biologiczne pływy

Naukowcy z USA, na czele z dr Liebertem badali okoliczności, w wyniku których, w latach 1956 – 1960, dokonano około 2000 morderstw i odkryli związek między nimi a fazami Księżyca. Większość przestępstw została popełniona w czasie, gdy nasz satelita nie odbijał stroną widoczną z Ziemi promieni słonecznych lub wówczas, gdy zjawisko to znajdowało się w początkowej fazie. Porównawcza analiza przekazała identyczny obraz.

Dziś na całym świecie mówi się o meteopsychiatrii, nowym specjalistycznym kierunku medycyny, której zadaniem jest badanie wpływu temperatury, zjawisk atmosferycznych, jak również faz księżycowych na zachowanie człowieka. Dowiedziono, że w przypadku dość znacznej grupy ludzi o słabej woli powodują one niepokój, nerwowość, strach i niezwykłe uczucie niepewności.

Księżyc działa na Ziemię swym polem grawitacyjnym i powoduje pływy mórz. Dr Liebert wykazuje, że niemożliwe jest, aby człowiek, którego organizm w znacznej mierze składa się z płynów nie podlegał temu czynnikowi. Uważa się, że fazy Księżyca podobnie jak w przypadku większych zbiorników wodnych, tak i w przypadku mikroskopijnych naczyń mogą powodować w nich, proporcjonalnie mniejsze, przypływy i odpływy. Tak dzieje się z płynami organicznymi w komórkach żywych organizmów. Mogą one wpływać na nasze samopoczucie, wolę, energię, tolerancję, prawidłowość sądów itp. W przypadku ludzi emocjonalnie niezrównoważonych mogą nawet wywoływać agresywne zachowanie.

Meteopsychiatrzy uważają też, że zmniejszenie ciśnienia powietrza, do jakiego dochodzi pośrednio, poprzez aktywność Słońca i Księżyca, wywołuje z ludzi różne schorzenia. Czynnik ten wywołuje złe samopoczucie, ból głowy, nerwowość, zaburzenia w pracy organów wewnętrznych, zwężenie naczyń krwionośnych i zwiększenie ciśnienia w samym mózgu. Wówczas nawet zdrowi ludzie mogą skarżyć się na ból głowy, apatyczność i rozdrażnienie. W przypadku osób bardziej podatnych na wpływy zewnętrzne częstokroć powoduje to zachwianie kontroli nad swoim zachowaniem.

W powietrzu znajdują się biliony niewidzialnych naelektryzowanych atomów (jonów). Jedne z nich mają ładunki dodatnie, inne ujemne. Ujemne ładunki polepszają samopoczucie i zwiększają aktywność życiową ludzi, dodatnie mają działanie przeciwne, czynią ludzi słabymi, bezwolnymi i leniwymi. Są to tylko bardzo ogólne, niepełne wiadomości, o wpływie jonizacji powietrza na organizm ludzki. Badania w tym kierunku dopiero wchodzą w początkową fazę.

Heliobiologia i biorytmologia są jeszcze młodymi naukami. W ich zakresie dokonano już szereg interesujących prac, jednak jest to dopiero początek, ale już dziś wiadomo, iż rozwój tych dziedzin nauki może stać się cenną pomocą dla medycyny praktycznej, a zapewne umożliwi również lepsze poznanie Słońca i Księżyca.

Mariusz Salamon
ul. Robotnicza 53/24
82-300 Elbląg

– Towarzyszu pułkowniku! – zwrócił się do niego sierżant. Jeśli wasza krewna jest jeszcze tutaj, trzeba by ją też zaprosić do komisariatu. Jestem przekonany, że on wskaże, gdzie schował walizki...

– Dobrze, poproście – zgodził się Kaszys. – Ale dopiero po sporządzeniu protokołu rewizji. Weźcie dwóch numerowych na świadków.

Na nie ogolonej twarzy nieznajomego nie drgnął żaden muskuł. Spuścił oczy, jakby chciał zademonstrować, że zupełnie go nie obchodzi zawartość cudzej teczki.

Podpułkownik Kaszys otwierał ją także bez szczególnego zainteresowania. Ale w chwilę potem zdębiał. Znów zajrzał do środka i lekko drżącą ze zdenerwowania ręką wyciągnął paczkę czerwonych banknotów.

– Tysiąc – wymamrotał, przeliczywszy pieniądze. – Sprawdźcie jeszcze na wszelki wypadek – i podał paczkę stojącemu obok numerowemu.

– Niech Bóg broni! – odmówił siwy starowina, ale od razu się poprawił – liczyłem razem z wami.

Kaszys ponownie sięgnął ręką w głąb teczki i znów wyjął opieczętowaną przez bank paczkę pieniędzy. Potem jeszcze jedną i jeszcze...

– Dwadzieścia cztery tysiące – wykrztusił zdumiony sierżant i surowo popatrzył na złodzieja. – To ci dopiero zdobycz, co?

– Dwadzieścia cztery tysiące... – w zamyśleniu powtórzył Kaszys. – Dokładnie tyle, ile zrabowano z kasy kurziemskiego kołchozu... – ożywił się nagle i rozkazał – Idziemy, towarzysze. Muszę natychmiast zadzwonić!

– A wasza teściowa? – przypomniał sierżant.

Podpułkownik machnął tylko ręką.

* * *

„Dlaczego nigdy nie możesz usiedzieć na miejscu, wciąż ci dokądś pilno! – w ten sposób zazwyczaj upominają swoje latorośle niektórzy rodzice. – Nie masz się czym zająć w domu? Obejrzyj telewizję, poczytaj książkę. I nic ci się nie stanie, jeżeli jeszcze raz powtórzysz sobie lekcję..." Nawet dorośli, którzy teoretycznie rozumieją naturalne dążenie młodzieży do samodzielności, nie potrafią się powstrzymać od ingerencji, którą nazywa się delikatnie „opieką". W szkołach pomagają zaopatrzyć izby pionierskie i komsomolskie w bębny, flagi, w poglądowe pomoce naukowe; w administracjach domów organizują biblioteki, świetlice. Robią wszystko, żeby ustrzec swoje dzieci przed zgubnym wpływem ulicy.

Zdarza się jednak, że takie działanie powoduje przeciwną reakcję. Niechęć niektórych młodych ludzi do rozmaitych zabiegów wychowawczych, jak i wszelkich nauk moralnych „z góry" jest równie stara, jak to prawo mechaniki. W przestronnych i jasnych wnętrzach młodzi czują się skrępowani. O ileż swobodniej i przyjemniej jest im w ciemnej drewutni na podwórzu albo zakurzonym zimnym strychu. Choćby ten strych był najnędzniejszy, tam urządzają swój „sztab", tam mogą się schronić przed strofowaniem i pouczeniami.

Rozlokowanie tego „sztabu" jest oczywiście uzależnione od miejscowych warunków. W Jurmali, na przykład, nie ma romantycznych ruin z podziemnymi potajemnymi przejściami, nie ma też wielopiętrowych miejskich kamienic, gdzie podest schodów na najwyższym piętrze jest niesłychanie wygodny, ponieważ pod drzwiami strychu z latami lokatorzy gromadzą stare meble.

Uczniowie klasy jedenastej codziennie wieczorem zbierali się na szczycie wydmy, pod starą wieżą triangulacyjną. Początkowo uważano, że należy wdrapywać się na najwyższy pomost, dokąd wiodły skrzypiące stopnie i zmurszałe pomosty. Wkrótce jednak dziewczęta przyzwyczaiły się i przestały przy każdym kroku piszczeć ze strachu i chłopcom też znudziły się bezsensowne wspinaczki. U podnóża wieży brzeg morza też był widoczny jak na dłoni.

Szkarłatny dysk słońca chylił się już ku linii horyzontu, ale na plaży nadal było pełno ludzi jak w południe. Waris i Albert nie interesowali się ani plażą, ani plażowiczami, wspięli się na wydmę i z rozkoszą wyciągnęli się na ciepłym piasku. Wyglądali na bardzo zmęczonych, jakby nie przyjechali z Rygi samochodem lecz biegli przez całą drogę i to w szybkim tempie.

– Okropnie niewdzięczna praca – odezwał się Waris. – Możliwe że złodziej, który gwizdnął babci walizkę, już dawno zmył się gdzieś za siódmą górę albo kąpie się najspokojniej gdzieś tu obok... Jak go schwytać, jeśli nie ma żadnego punktu zaczepienia.

– Płacą im za to – odparł obojętnie Albert – A poza tym złapali przecież jakiegoś typka... Ponadplanowo.

Waris nie miał jakoś ochoty na żarty.

– Oni tam mają sposób liczenia – plan jest wykonany wtedy, kiedy nie trzeba nikogo aresztować.

– Nie denerwuj się, wystarczy ci jeszcze roboty na całe życie... – Albert spojrzał na przyjaciela – Miałeś przecież zamiar zostać detektywem?

– Za nic... Stale mieć do czynienia z mętami... Tylko w powieściach przestępcy są interesujący.

Cdn.

KUBUŚ i jego rodzinka

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL 7

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0316569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Tadeusz Baranowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 670/G C-102

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

GUNARS CIRULIS
TŁUM Z ROSYJSKIEGO HENRYKA BRONIATOWSKA

NIE WIERZĘ W BOGANY 8

W końcu mechanizm pamięci zaczął działać. Kiedy osobnik zatrzymał się przed jedną z szafek, podpułkownik uprzytomnił sobie, że bardzo niedawno widział go w tym samym miejscu. Widocznie zostawił rzeczy, żeby nie dźwigać ich z sobą do bufetu. Mimo wszystko jednak coś w zachowaniu tego człowieka wzbudzało czujność. Może rozbiegane spojrzenia, a może niezwykła zręczność palców dotykających bębnów cyfrowych jak kruchego kryształu. W każdym bądź razie Kaszys postanowił wprowadzić swoje podejrzenia.

W towarzystwie obu milicjantów podszedł do nieznajomego i uprzedzająco grzecznie powiedział:

– Proszę wybaczyć, obywatelu... Dziś miała tu miejsce kradzież i nie ma niestety innego sposobu sprawdzenia... Czy moglibyście nam powiedzieć, co macie w tej szafce?

– Protestuję! – wrzasnął mężczyzna, ale w jego głosie czuło się lęk i niepewność. – Jakim prawem! Sam wstawiłem bagaż i mam prawo go zabrać!

– A jednak? – nie ustępował Kaszys.

– Moje rzeczy osobiste!

– Skoro tak, to wyliczenie ich nie sprawi wam żadnych trudności. No, powiedzmy, worek jabłek, torba z biżuterią albo teczka z dokumentami...

Mężczyzna drgnął.

– Dokumenty, proszę – powiedział groźnie sierżant, w przeciwieństwie do Kaszysa, który był uosobieniem uprzejmości.

– Nie śpieszcie się, sierżancie , na razie nie trzeba...

Obywatel powie nam teraz, co ma w szafce, sprawdzimy, przeprosimy go i zapomnimy o tym przykrym incydencie.

Mężczyzna zrozumiał, że milicjant tak łatwo nie zrezygnuje i postanowił nie komplikować sytuacji.

– No cóż... Mam zwykłą walizkę.

– A co w niej jest?

– To, co zazwyczaj zabiera się w podróż; bielizna, ranne pantofle, dres, mydło, maszynka do golenia... Czy nigdy nie wyjeżdżaliście na urlop?

Wyciągnął rękę i już dotykał zamka. Ale Kaszys okazał się szybszy od niego. Domyślił się, że mężczyzna chce przesunąć cyfry na bębnie, żeby potem odegrać komedię, jakoby pamięć mu nie dopisała. Podpułkownik otworzył na rozcież drzwiczki szafki. Zamiast walizki stała tam żółta teczka ze świńskiej skóry.

Mężczyzna od razu spuścił nos na kwintę, a obaj milicjanci nabrali ducha:

– Wpadłeś, ptaszku! A nie mówiłem, towarzyszu pułkowniku, że złapiemy złodzieja? W komisariacie opowiesz nam, ileś szafek zdążył dziś splądrować?

– Jak je otwierasz? – zainteresował się drugi milicjant. Według dźwięku.

– Tak, podług pstryknięć – mimowolnie przyznał się schwytany na gorącym uczynku złodziej.

Kaszys nie odczuwał żadnej satysfakcji. Coś tu się jednak nie zgadzało... Przed kilkoma minutami zaledwie gotów był przysiąc, że widział na własne oczy tego osobnika, jak wstawiał do szafki tę samą teczkę. Teraz nagle twierdził, że nie jest jej właścicielem. Normalny człowiek nie próbowałby zmyślać bajki o walizce, co mogło pociągnąć za sobą oskarżenie o kradzież...

Dokończenie na str. 7